

Kiedy świat płonie, on karmi go ogniem.

KRWAWA

J U L I A

NAMIĘTNOŚĆ

K U Ł A K O W S K A



Nagle rozległ się hałas. Jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć. Wbiegła zaptakana do baru. Szła z nożem w udzie i wołała o pomoc. Każdy się od niej odsuwał. Morderca zataknął się krwi.

Francja 21 maja rok 1945

Ruta spokojnie usiadła w swoim ulubionym aksamitnym czerwonym fotelu. Próbowała zrozumieć wszystko co do tej pory się wydarzyło.

-Przecież tu nic się ze sobą nie łączy! – krzyknęła

Uspokoiła się jednak po chwili. Chwyciła swój już niemalże pusty kieliszek czerwonego wina. Krwisty kolor napoju, dzięki któremu mogła zapomnieć złe chwile w tym właśnie momencie stał się dla niej nie tylko używką, ale i rozwiązaniem zagadki.

-Wiem? Wiem! Wiem! - krzyczała w niebogłosy

Z podekscytowania skoczyła z całych sił w górę. Wyżłobiła dosyć sporą dziurę w podłodze. Otworzyła szeroko oczy, rozejrzała się na boki i ujrzała dywan. Szybko przykryła dziurę dywanem. Nie przywiązywała zbytnej uwagi do rzeczy, więc uśmiech utrzymał się na jej twarzy. Nagle zdała sobie sprawę ze swojego odkrycia. Wolałby do końca życia nie wiedzieć rozwiązania tej sprawy. Byłaby nieświadoma jak Kolumb swego odkrycia, ale może byłaby szczęśliwsza... nie targałyby nią sprzeczne uczucia. Niewiedziała co zrobić. W miejsce dawnej sprawy wplątała się druga – znacznie trudniejsza. Osunęła się na fotel. W jej oczach pojawiło się zakłopotanie, gniew i rozpacz. Nikt jej nie uwierzy. Przejechała opuszką palca po brzegach kieliszka. Przypomniał jej się koncert solo w starej pijalni w Anglii.

Anglia 1 grudnia rok 1944

Sophie stepowała do rytmu muzyki. Trochę się kiwała, ale najwidoczniej Komisarz William tego nie zauważył. Jej śpiew po paru kieliszkach alkoholu stawał się nieco chropowaty, ale nadal piękny. Chwyciła za swój akordeon. Zagrała piękną melodię. Wlewała muzykę do serc Polaków. Każdy czuł się tu obco. Znała to uczucie bardzo dobrze, choć Anglia stała się jej drugim domem. Wciąż tęskniła za swoją ostoją... za wspomnieniami, które z każdym dniem stawały się coraz bleedsze i mniej wyrazistsze. Dostała wiwat od towarzystwa. Siadła na krześle. Nie czuła się najlepiej. Wyszła więc z baru i wzięła głęboki wdech powietrza, po czym zwróciła niestrawione resztki pokarmu.

-Uh...- brząknęła coś po cichu

Wkrótce z baru wyszedł Komisarz William.

-Oho! Jestem przekonany, że taką plamą na sukience dostanie Pani jeszcze większe wiwaty. Ten jedzeniowy kleks przyciągnie wiele spojrzeń. Nie może Pani sama wychodzić w takie zimne noce. Niech Pani powie mi przynajmniej, że potrawa była smaczna! – zaśmiał się

-O nie... Co za wstyd! Naprawdę robi sobie Pan żarty z biednej, poturbowanej kobiety? – spytała

-Ależ nie! Przepraszam! Po prostu przed chwilą postukiwała Pani jak szalona w tym niezgrabnym tańcu. Swoimi pantofelkami narobiła Pani szkód w drewnianym stołku w barze. – ironizował

-I odpowiadając na Pana pytanie... Wcale nie było to smaczne. Zresztą smakowało tak jak wszystko na tej cholerniej wojnie. – wzruszyła ramionami

-Tu muszę przyznać Pani rację. Jeśli nie smakują Pani te kartonowe jedzenie może da się Pani zaprosić na kolację? – spytał i się uśmiechnął

-Czy Pan naprawdę zaprasza mnie na kolację? Niech Pan wybaczy, ale ja nawet nie znam Pana imienia! – zezłościła się odrobinę, ale jednocześnie miała motyle w brzuchu

-O niech Pani wybaczy. Jestem William. – odrzekł

-Sophie! – przywitała się z dużą dozą zaufania

Przynajmniej tak to właśnie miało wyglądać. W rzeczywistości ogarnął ją niepokój. Nauczyła się jednak z nim żyć. Niepokój był codziennością. Tak jak zakrywa się wory pod oczyma odpowiednim makijażem, tak ona zakrywała niepokój uśmiechem i otwartością.

-Sophie? Jak ta francuska matematyczka – Sophie Germain? -spytał

-Słuszne skojarzenie! Tak. Rodzice nadali mi imię Sophie, ponieważ widzieli we mnie duży potencjał. Uczęszczałam na nauki ścisłe typu fizyka, matematyka. Zawsze lubiłam rozwiązywać różne działania, zagadki. Twierdzili, że jestem w tym dobra. Wszystko układało się idealnie, dopóki..., dopóki... Nieważne! – odparła ze smutkiem

-Ależ niech Pani mi opowie! Zaciekawiała mnie ta historia! – w jego oczach pojawiły się promyki

-Och... to naprawdę długa historia. - odrzekła

Nie mówiła o sobie zbyt wiele. Zawsze była wstydliva i zbyt wrażliwa. ZBYT- te słowo powtarzała sobie każdej nocy. ZBYT wrażliwa, ZBYT wystraszona, ZBYT podejrzliwa, ZBYT nie niemiecka, ZBYT odznaczająca się. Jakże ona kocha poznawać nowych ludzi! Ale co, jeśli jeden z nich jest szpiegiem? Boże co wtedy?! Co, jeśli ktoś wykryje w jej twarzy coś podejrzliwego? Mimo wszystko Sophie jest dobra w kamuflażu, uchodzenia za kogoś kim się nie jest naprawdę. Od początku ery Hitlera robi to na co dzień. Nie chciała być sobą. Chciała, aby jej prawdziwa tożsamość się rozmyła. Nikt tak naprawdę nie wiedział kim jest. Ona sama chyba jeszcze tego nie wiedziała. Nigdy nie powiedziałyby, jak się nazywa... tak naprawdę. Prawda zaprowadziłyby ją prosto do gazu. Byłoby to byt dużym ryzykiem... nie mogła.

Przechadzali się kamienną ulicą. Rynek nocą wyglądał pięknie, tak niewinnie. Czuli się bezpiecznie tuż przy nim, choć go dopiero poznała. Miała dwie opcje do wyboru: albo jest on dobrym i uprzejmym człowiekiem albo co gorsza jest tak perfekcyjny w tej całej niewinnej zagrywce jak ona.

-W rzeczy samej. Masz rację Williamie. To niebezpieczne miejsce. Boję się przechadzać tymi uliczkami. Nie dochodzi tu żadne światło. Nawet nie widać Księżycy. - stwierdziła

Alejka była zarośnięta różnorodnymi roślinami. Konary potężnych drzew nie dopuszczały światła, a długie gałązki cisu uderzały o skronie Sophie. Jej krucze loki przemieniły się w niesforne fale. Weszli do miasteczka. Stanęli tuż przy starym, średniowiecznym kościele.

-Ja już pójdę sama. - odrzekła

-Jesteś pewna Sophie?- spytał

-Tak. Nurtuje mnie jednak jedno bardzo ważne pytanie, Williamie. Dlaczego zwróciłeś uwagę na to, że wyłobiłam dziurę obcasem w stołku w barze? – spytała

-Zapomniałem o tym kompletnie. Jestem komisarzem i każde niszczenie mienia publicznego muszę odnotowywać. Tak właściwie to zniszczyłaś stołek Pana Evansa. Jeśli wytrzeźwieje i jutro ujrzy tą dziurę... - rozmyślał

-Nie myślę, że wyjdzie z tego stanu upojenia już jutro. Potrwa to przynajmniej trzy dni. Nie dość, że wygrał zakład z Panem Smithem kto wypije więcej kufli browaru w przeciągu kwadransa to zjadł dwie duże porcje złocistego indyka. Gdy się obudzi nie będzie nawet pamiętał jaki jest dzień. Jestem przekonana, że dziury nie zauważy. – zaśmiała się

Powoli nabierała do niego zaufania. Nie był natrętny i spokojnie odpowiadał na pytania. Nie wpatrywał się w jej twarz jak hitlerowcy. Wsłuchiwał się w jej słowa. Za to właśnie zaczęła go cenić.

Uśmiech Sophie sprawił, że przez komisarza przeszły dreszcze. Zaśmiał się, bo wiedział, że dziewczyna ma rację. Pan Evans lubił popijawy i często trafiał do aresztu na kilka godzin za zakłócanie porządku. W rzeczy samej nikt zbytnio się tym nie przejmował, oprócz gosposi pastora – Pani Hedwig, która zaciekle komentuje bieżące sprawy i właściwie to wie więcej niż sama policja. Policji miły jest ten rozbójnik. Często opowiada dowcipy i pociesza innych, choć sam w życiu nie miał najłatwiej. Pięć lat temu jego żona została okrutnie zamordowana. Dziś wybiła piąta rocznica. Miało to miejsce 1 grudnia 1939, trzy miesiące po rozpoczęciu II wojny światowej. Biedaczyna upija się każdego wieczora, aby zapomnieć o bólu. Kochał swą żonę niezmiernie. Byli nierozłączną parą, a zdaniem Pani Hedwig przykładem udanego małżeństwa. Do dziś sprawa ta została nierozwiązana. Nie ulega wątpliwości, że było to spowodowane nienawiścią. Pan Evans powtarzał policji, że był to niezaprzeczalny dowód antysemityzmu. Nie było jednak dowodów na poparcie jego tezy. On wiedział jednak, że morderca kierował się tylko jednym powodem. Pani Evans z pochodzenia była Żydówką. To wystarczyło. Ciało odnaleziono nad zatoką miesiąc po tym jak Pan Evans zgłosił zaginięcie ukochanej. Śledczy uzyskali zbyt mało dowodów, a zdaniem patologa sądowego ciało było tak mocno okaleczone, że trudno było rozpoznać zarówno samą ofiarę jak i sposób w jaki pozbawiono ją życia. Wiadomość o morderstwie

wstrząsnęła miasteczkiem. Miejsce to było azylem dla każdego i było tu bezpiecznie. Brytyjscy żołnierze ukrywali tu ładunki ze wszystkich hrabstw na początku wojny. Stacjonowała nawet tajna jednostka. Co ich wypłoszyło z tego rajskiego Edenu? Nikt nie pomyślałby, że w przeciągu niespełna kilku lat od zakończenia wojny będzie tu miało miejsce aż tak brutalne morderstwo. Dużo rodzin wyjechało na tereny podmiejskie albo i dalej. Morderca mógł uciec w każdej chwili. Może nadal jest w tym miasteczku, w którymś z tych domków? Śmieje się pewnie czytając prasę. Wstaje każdego poranka, zaparza filiżankę gorzkiej, czarnej herbaty, siada przy kominku i spogląda na ogień. Idzie do pracy, uśmiecha się szyderczo do każdego i szuka ofiary. Planuje wszystko na zaś, myśli przyszłościowo. Kiedy znów zaatakuje? Co zrobi tym razem? Czy również wrzuci ciało do pobliskiej zatoki i sprytnie usunie wszystkie dowody? Te pytania wciąż krążyły w głowie Williama. Nie rozwiązał tej sprawy... poległ. Może jeszcze jest szansa!?! Posmutniał. Wbił spojrzenie w deski, z których zbudowany był kościół. Zauważyła to Sophie.

-Dobrze się masz Williamie? Nie wyglądasz najlepiej... - spytała

-Tak, tak... - powtórzył kilka razy

-Miło mi było ciebie poznać. - oznajmiła z przeuroczym dla niego uśmiechem

-Mnie również. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. - ucałował rączkę dziewczyny

Sophie skierowała się w boczną uliczkę. Zeszła kamiennymi schodkami w dół. Nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do swojego mieszkania i zrelaksuje się biorąc ciepłą kąpiel. Właśnie tego pragnęła najbardziej – ciszy i czegoś ciepłego. Pogoda w Anglii była niesforna. Nienawidziła chłodnych wieczorów i jeszcze zimniejszych nocy. Do tego często dochodził deszcz, lecz przywykła do niego. Pobyt w Anglii nauczył ją wielu rzeczy. Wiedziała, że zawsze warto mieć przy sobie parasol. Jakże była szczęśliwa, gdy go otworzyła. Teraz mogła spokojnie zacząć analizować swoje uczucia. Wiedziała bowiem, że po spotkaniu tego mężczyzny nie będzie już mogła o nim zapomnieć. Dopełniał jej myśli w każdym słowie, zdaniu, geście, uśmiechu. Ach! Była nim oczarowana. Nie zważała na niebezpieczeństwo. Musiała go spotkać raz jeszcze. Nagle ze swoich przemyśleń oderwał ją jaskrawy kawałek materiału, który ujrzała kątem oka. Znajdował się kilkanaście metrów od niej. Przykuło to jej uwagę i skręciła z głównej dróżki na poboczną. Znalazła się na skalistej promenadzie. Wirujący w powietrzu piach pod wpływem wiatru otarł jej twarz. Nie widziała aż tak wyraźnie. Podeszła chwiejnym kroczkiem do przedmiotu, który tak ją zaniepokoił. Otarła oczy.

-To pewnie przez piasek - odrzekła

Nie myliła się jednak. Jej oczy nie chciały tego widzieć. Odwróciła wzrok, ale wciąż nie mogła wymazać tego obrazka z pamięci. Jej serce zaczęło szybciej bić. Nie mogła złapać oddechu. Nie wiedziała co robić. Spojrzała znów. Ujrzała napis na karteczce włożony w dłoń kobiety: *“Liczby rządzą światem”*. Spojrzała na górę - na twarz. Zaczęła krzyczeć. Jej głos wołania o pomoc przybierał przerażającą postać. Niczym jakiś najgorszy koszmar... Wrzaski nie wydobywały się z wątlej kobietki, lecz z demona. Była wściekła i przerażona. Płakała. Ręce zaczęły jej się trząść.

-Pomocy! Pomocy! Błagam! - krzyknęła z całych sił

Usłyszał to William, który zaszedł do kościoła na modlitwę. Zerwał się z kolan i wybiegł z kościoła. Usłyszał to także pastor modlący się w intencji za swoją ciężko chorą żonę. Spotykał się z Williamem co noc na wieczorne rozmowy o Bogu, życiu i śmierci. Pastor pobiegł tuż za Williamem. William zbiegł po schodkach i biegł w stronę głosu wołającej o pomoc.

-Gdzie jesteś?! - krzyząc rozglądał się szaleńczo na każde strony

W tym czasie dobiegł pastor.

-Tam Williamie! - krzyknął i skierował się w boczną uliczkę

Ujrzeni w oddali przerażoną Sophie.

-Tutaj! Tutaj! Williamie, pastorze błagam pomóżcie! -krzyczała w niebogłosey

Ich oczom ukazał się dramatyczny obraz. Pastor przyklęknął i zaczął się modlić. Sophie osunęła się na tors Williama. Utulił omdlałą dziewczynę. Był empatyczny i wiedział co mogą czuć osoby po zobaczeniu czegoś takiego. Wiedział kto się przyczynił do zbrodni.

-A więc nie zaprzestał... - spojrzał na karteczkę

Pastor próbował skupić całą swoją uwagę na modlitwie za duszę, lecz w jego oczy cisnął się potok łez. Poznał duszę ofiary choć nie znał jej imienia. Tak mu się wtedy przynajmniej wydawało. On również nie wiedział co poczyni jutro. Czy ludzie zechcą jeszcze wierzyć w Boga? Czy on sam nie zaczyna w Niego wątpić? Dlaczego tak dobrym osobom przytrafiają się tak złe rzeczy? Podobne pytania zadawali sobie William i Sophie. Wiedzieli, że teraz staną się sobie bliżsi. Będą się musieli wspierać w tym trudnym czasie. Lecz nie poprzestaną, dopóki nie odkryją prawdy. Poczuli się związani z tą młodą kobietą. Stała się dla nich siostrą, matką, przyjaciółką. Czuli obowiązek przekazania prawdy jej samej, ale i rodzinie. Zasługiwała na szacunek. Jej dusza się nie uwolni, dopóki nie pozna przyczyny. Dlaczego to właśnie ona?

Anglia 2 grudnia 1944

-Nadal nie rozumiem co się wczoraj wydarzyło. - powiedziała Sophie

-Zemdlałaś. Byłaś nieprzytomna cały dzień. Miałaś gorączkę. Do tego doszło poważne przeziębienie. - powiedziała Pani Hedwig

Sophie spojrzała za okno.

-Jak ciemno... noc. - wyszeptała

-Proszę tu twoja herbata. - powiedziała ze współczuciem Pani Hedwig podając dziewczynie ciepły napój

-Dziękuję. - odpowiedziała Sophie

Pani Hedwig dorzuciła do kominka kilka desek drewna opałowego. W tym czasie do plebani wszedł William. Sophie natychmiast się odwróciła.

-Policja już jest na miejscu? Co mówią? - spytała

-Tak. Mówią niewiele. - odpowiedział z ponurą twarzą i usiadł na krześle

-Kim jest ofiara? - spytała Pani Hedwig

-To Janet Clarke... - odpowiedział a wszyscy w salonie momentalnie pobledli jeszcze bardziej

-Janet? O mój Boże. Nie poznałam jej. Gdy spojrzałam na twarz... - Sophie zamarła w bezruchu jakby przywołując tragiczne wspomnienia i rozpamiętując wydarzenia z ostatnich kilku godzin

-Czy rodzina wie? - spytał pokornie pastor

-Powiadomiliśmy narzeczonego Janet. Jeszcze nie jesteśmy pewni. Zrobimy dokładniejsze badania, ale chusteczka z wyciętym inicjałem Janet Clarke i pierścienek zaręczynowy potwierdza tożsamość. James – naręczony Janet potwierdził, że przedmioty należały do Janet. -odparł ze smutkiem

-To nie było samobójstwo, prawda? Widziałam w jej dłoniach karteczkę. Zabicie się w imię liczb? Nie wierzyła w żadne idee. Czytając z nią literaturę głośno deklarowała, że samobójstwo w imię jakiejś wartości jest niedorzeczne. Głęboko krytykowała efekt Wertera. Chodziła na każdą mszę i uważała, że samobójstwo to grzech. Znałam Janet. nigdy by się do tego nie dopuściła. Kochała życie... Była osobą towarzyską i zawsze służyła pomocą. Całą wojnę walczyła o wolność. Miałyby teraz umierać? Co za świnia! Schwein! Schwein! - krzyczała

Sophie chciała aby każdy ją usłyszał. Może morderca usłyszy jej krzyk i zrozumie swój błąd. Była przekonana, że to wina kolaboranta. Nie żywiła uprzedzeń do narodu niemieckiego. Nienawidziła Hitlera. Każde "Heil Hitler!" wywoływało u niej spazmy i obrzydzenie. Wiedziała jednak, że krzyk w niczym nie pomoże. On - miłośnik Hitlera planuje dalsze zbrodnie.

-Jak mógł odebrać życie tak drobnej, dobrej istotce? Boże... jak życie jest kruche. - odparła już spokojnie

-Tak to była dobra dziewczyna. - oparła Pani Hedwig

Pani Hedwig odwróciła wzrok. Nie mogła utrzymać dzbanuszka z herbatą. Filiżanka wypadła jej z rąk.

-Oh... Posprzątam to. - Pani Hedwig wyszła z pokoju

Starsza Pani nie mogła znieść informacji o nagłej i tak okrutnej śmierci Janet. Skierowała się do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi i spojrzała w lustro. Pochyliła się nad umywalką aby umyć twarz. Chciała ukryć łzy. Ukryła twarz w pomarszczonych dłoniach.

-Boże za jakie grzechy? - łkała po cichu

Po chwili jednak wzięła ręczniczek, aby wytrzeć rozlaną herbatę. Chwyciła za szufelkę i zmiotkę. Nie chce okazywać publicznie tych uczuć. Weszła roztargniona do pokoju, lecz po chwili się uspokoiła.

-Musimy poznać jej przeszłość. James mówił nam, że tak naprawdę niewiele wiedział o jej przeszłości. Twierdził, że niechciała o tym mówić. Ich miłość nie trwała długo, ale ponoć bardzo się kochali. Decyzja o ślubie była spontaniczna. Najpierw zeznania świadków. Sophie? Dasz radę? - spytał

-Tak. - odparła

-Dobrze Sophie. W takim razie ubierz się, a ja przyjdę za pięć minut. - poprosił zakładając jej płaszcz

William i pastor wyszli z pokoju.

-Nie martw się skarbie. Ja też kiedyś straciłam swojego powiernika. Musisz powiedzieć im wszystko. Tak będzie lepiej. - uśmiechnęła się ze współczuciem i pogłaskała głowę Sophie

-Babciu, ale jak? Mam im powiedzieć o wszystkim? O tym, że planowałyśmy zamach na człowieka? Bestialsko zniszyliby wizerunek Janet. Całe życie, nawet po śmierci ma pozostać niewinną, nieskłoną do grzechu dziewczyną. Akcja się nie powiodła, ale obiecałyśmy sobie, że nikt oprócz nas i ciebie oczywiście, kochana babciu, nie może się dowiedzieć. Depottowałiby mnie prosto na rzeź. Tak, tak ...skazaliby mnie. Sąd z pewnością zadecydowałby o karze śmierci. Gdyby jeszcze się dowiedzieli na kogo przez całą wojnę planowałyśmy ten podstępny, szcurzy zamiar... Zrobili i tobie krzywdę. Nie mogę stracić i ciebie. Drugiej stracie nie podołam. - mówiła rozstrzęsiona

-On będzie ciebie szukał. - odparła

-Wiem. Dam sobie radę. Dla niej... Dla sprawiedliwości. - odparła

Sophie otarła łzy. Wzięła głęboki oddech.

“DOWIEDZIELI SIĘ”

Te słowa wciąż krążyły w jej myślach.

-Zbliża się północ. William się pewnie już zbliża. - pożegnała dziewczynę

Milczały. Kobiety sobie wyjaśniły wszystko. Spojrzenia wystarczyły. Komunikowały się ze sobą inaczej niż wszyscy. Nauczyły się tego podczas pobytu w Anglii. W rzeczy samej spędziły tu dużo czasu, choć to nie była ich ojczyzna. Nigdy nie były ze sobą razem, nie mogły mieszkać wspólnie. Sophie wiedziała to i wystarczała jej opieka lokalnej szwaczki. Przygarnęła ona biedną sierotę ulokowaną w sierocińcu nieopodal miasteczka. Nie wzbudziło więc to żadnych podejrzeń. Owa szwaczka imieniem Mary wiele lat starała się z mężem o dziecko. Starania spełzły na niczym. Ku uciesze Mary i jej męża dziewczynka

okazała się bystrą i grzeczną. Pokochali ją od razu! Ona także zaczęła nazywać Mary mamą, a Pana Francisa tatulkiem. Mary uczyła ją wyszywania pięknych wzorków. Owy wzorek na husteczce ofiary wyszyła Sophie. Francis uczył ją matematyki i gry na akordeonie. Umiejętności dziewczynki niezwykle go zadziwiły, ale i zafascynowały. Spędzał z nią każde wieczory na rozwiązywaniu zagadek, działań matematycznych. Razem z żoną stwierdził, że należy nadać jej bardziej “nie żydowskie” imię. Zadecydowali, że będzie to Sophie. Ależ on był z niej dumny! Nie zważał na genetykę! On ją kochał. Zawsze marzył o córeczce. Jedyne co go niepokoiło to krucze włosy. Gdyby były blond! Dlaczego czarne?! Znał jednak odpowiedź na to pytanie. A jeśli ktoś ją porwie? Jeśli ktoś będzie ją śledził? Miłość i nadzieja jaką ofiarowali jej nowi rodzice... To utrzymało Sophie przy życiu. Co do gry na akordeonie – ta umiejętność przydała się jej wiele razy w dorosłym życiu.

Po minucie tak długiego milczenia do pokoju wszedł William.

-Niech się Pani nie martwi i dziękuję za opiekę. -dodała

-Nawet nieznanym chętnie udzielam pomocy. Pamiętaj o tym... Wiliamie! Wdepnąłeś butem w dopiero co umytą przeze mnie podłogę- krzyknęła z pretensją

-O Pani wybaczy. - przeprosił

Sophie w głębi duszy się uśmieła. Ależ ona kochała tą uroczą starowinkę!

-Spokojnej nocy.- pożegnała ją czułym spojrzeniem

-Zabawa się dopiero zaczyna Panno Sophie. Noc to najlepsza pora na biesiadę - zaśmiała się

Pani Hedwig umiała zachować spokój ducha. Był przy niej Bóg i Sophie – dwie najważniejsze wartości w jej życiu.

William i Sophie wyszli z plebanii.

-Ależ ona jest zabawną kobicinką! - zaśmiał się

-W rzeczy samej Williamie... W rzeczy samej... - uśmiechnęła się

Anglia 3 grudnia 1944

Sophie powiedziała policji wszystko to co wiedzieć powinni. Pewne informacje zostawiła dla siebie. Sprawę załatwi sama. 24 listopada 1934 zawarła pakt, którego złamać nie chce i nie może. Pakt przyjaźni. Szła wąską alejką. Tuż do domu. Zaszła do pijalni pana Evansa. Otworzyła drzwi. Znów ten dzwonek nad drzwiami wejściowymi. Znała go na pamięć. Podeszła do drewnianej lady. Jak orszak bogów okazał się przed nią spory wybór alkoholu. Wybrała ulubiony. Smak owoców, które jadła z bratem w Niemczech. Tego właśnie pragnęła.

-Brandy jabłkowe poproszę. - rzekła

-Jak zawsze Applejack. Specjalnie dla ciebie ślicznotko. - odparł barman

Mężczyzna podał jej kieliszek i dopełnił go alkoholem do połowy

-Co smak młodości?- zaśmiał się

-Ja osobiście wolę cydr, ale ... - nie zdążył dokończyć zdania

-Wiecej. - przerwała mu stanowczo Sophie

-Słucham? - spytał zdziwiony

-Więcej poproszę. - spojrzała na barmana jakby ze zdziwieniem

-Ale... to chyba nie wypada. - odparł z prześmiewczym wyrazem twarzy

-Jak ty jej nie nalejesz to ja to zrobię, ale przy okazji roztluczę tą butelką ci łeb. - syknął pewien młodzieniec wpatrując się w popielniczkę

-A coś ty taki odważny! - zaśmiał się sarkastycznie

-Właśnie kilka godzin temu zobaczyłam martwą kobietę. Lejesz pan czy nie? - spytała gniewnie

Barman jakoby przestraszony pośpieszył po kufel i dopełnił go do dna.

-Przepraszam... - odparł

Kieliszek zabrał i wychodząc na zaplecze dopełnił go do dna.

-Tak to zdecydowanie za mała ilość brandy. - pomyślał

Pan Evans nie pytał jej nigdy o to ile wypije. Nie postulował o nakazach moralności. Za to go lubiła. Po śmierci żony stał się takim samym człowiekiem jak Sophie. Z pozoru pogodny, towarzyski, ale gdy wraca do domu męczą go koszmary, płacze i myśli wciąż o tej samej rzeczy. ŚMIERCI. Podobnie jak ona widział śmierć ukochanej osoby. W tym spektaklu zeszła ze sceny ulubiona postać. Został tylko zły bohater, utożsamienie zła. Została tylko śmierć... i cisza na widowni... i ta cholerna cisza. Pozostały tylko pytania co do zakończenia spektaklu. Jak możecie się domyśleć nie było ono najlepsze. Wszystko co złe zaczyna się dobrem. Aby wiedzieć czym jest ból musimy zaznać ukojenia. Evansowi go brakowało.

Sophie spojrzała na syna Pana Evansa. Była wdzięczna za jego wstawiennictwo w sprzeczce z barmanem

-Dzięki Andrew. - podziękowała

On podniósł chwilowo głowę jakby poznał ciepły jego sercu głos. Uśmiechnął się do niej. Milczał jak nigdy. Warto tu wspomnieć, że Andrew jest niezwykle rozgadana fajtlapą. Pomógł Sophie odnaleźć się w nowym miejscu – w Anglii. Gdy tylko nadała się okazja odprowadzał ją do domu. Z początku denerwowało ją to, ale z czasem od tego się uzależniła. Kochała jego opowieści. Kocha nawet jego zapach przypominający jej wczesne dzieciństwo. Andrew zajmuje się skręcaniem papierosów. Być może nie brzmi to zbyt dobrze, ale podczas wojny to bardzo przydatna umiejętność. Sophie w dzieciństwie skręcała papierosy dziadkowi. Nie pamiętała już jego twarzy. Wszystkie zdjęcia spłonęły. Czasem babcia jej o nim opowiadała. Wracając do papierosów. To właśnie one stanowiły przepustkę do

godniejszego życia. Andrew niekiedy za kilka papierosów zyskiwał mąkę, wędliny lub nawet książki. On sprzedawca papierosów. Ona śpiewaczka z akordeonem. Pokochała go całego. Zawsze grała z nim w drużynie piłkarskiej i za każdym razem wygrywali. Nie było lepszej drużyny od nich. Trzeba otwarcie przyznać, że Andrew szybko pozbył się szyderczej łatki "fajtłapa" i został najlepszym szkolnym bramkarzem. Dla Sophie jednak zostanie on wiecznym ulubionym fajtłapą. Byli najlepszymi kupkami. Teraz nie wiedziała co do niego czuje. Na pewno był dla niej ważny. Ale czy on czuje to samo? Dlaczego ją unika?

-Ej fajtłapo! Rozpoznałabym tę twoją jadaczkę wszędzie. - zaśmiała się

Gdy tylko go zobaczyła zapomniała o problemach. To był jednak dopiero półmetek. Jak to mówiła Pani Hedwig? Ah no tak.

"ZABAWA SIĘ DOPIERO ROZPOCZYNA"

-Jak się masz przyjacielu? Co u twojego ojca? Dlaczego płaczesz? Andrew odpowiedz mi. Co się stało? Wypił za dużo? Pobił go ktoś? - pytała

Wciąż nie uzyskała odpowiedzi. Gaduła się nie odzwymała. Jest źle.

-Fajtłapo... kochany co się stało. Mi możesz powiedzieć. - przekonywała go

Sophie pogłaskała go po jego pięknych blond włosach. Poczuł jej dotyk. Była przy nim jego dawna towarzyszka. Jakże niewyobrażalnie było mu wstyd, że jej unikał! Nie mógł sobie tego wybaczyć. Ona wciąż go kochała. Wiedział o tym. I to go przerażało najbardziej.

- Sophie powiedz mi dlaczego szczęście rodzi nieszczęście? - spytał

Ona go słuchała i mu nie przerywała. Nie odpowiadała.

-Najpierw matka... - mówił

Przerwał jednak i spojrzał się na Sophie. Chciał, poznać jej zdanie.

Sophie przeczuwała, że jest naprawdę źle.

-Andrew, pytasz się najbardziej nieszczęśliwej osoby o takie rzeczy? Nie pamiętam już nawet jak to było czuć się szczęśliwym. Wszystko mi się rozmazuje w pamięci. Nie pamiętam rodziców. Nie pamiętam niczego. Tylko zapach ognia. Wszędzie go czuje. Na każdym kroku. - odpowiedziała

-A więc będzie więcej strat? - spytał

-Niewiem. Być może któreś z nas umrze. Jestem szczęśliwa, że cię zobaczyłam. Nie było ciebie w tym miasteczku od początku wojny. - mówiła

-Ciebie też tu nie było. -powiedział

Sophie pochylała głowę, żeby opatrzeć jego ranę na głowie. Pewnie się z kimś pobił. Takim go zapamiętała ze szkoły.

-To prawda. - uśmiechnęła się lekko

Już wiedziała co go trapi. Taki sam wyraz twarzy miał gdy dowiedział się o śmierci matki.

-Jak umarł? - zapytała

-Od rany po kuli. Ukrywał ranę postrzałową. - odparł

-Broń? - spytała

-MP35. - odpowiedział niepewnie

Sophie знаła tą nazwę na pamięć. Z tego pistoletu celował do niej niemiecki szkop. Jej udało się przeżyć. Evansowi nie.

-Teraz jesteśmy kwita. - odparł Andrew

-Nie rozumiem. - odparła

-Twoi rodzice nie żyją. Moi też. Co ciebie tu jeszcze trzyma? - spytał

Anrew zaprzyjaźnił się z Sophie mając niewiele lat. Nie mógł być szpiegiem i fanatykiem Hitlera. Nigdy zresztą nie chciał. Nie oburzajcie się zatem o to, że zna tajemnicę Sophie.

-Babcia i Janet. -odparła

-Janet? -spytał

-Nie żyje. -zaśmiała się szyderczo

Jej śmiech momentalnie przemienił się w płacz. Straciła wszystko. Mogła się tylko śmiać. Tylko i wyłącznie śmiać i płakać jednocześnie.

-Całe życie pod górkę. - łkała

-Spotkajmy się tu jutro. Spakuj się. - odparł i wyszedł z pijalni

Sophie doszła do wniosku, że brandy jabłkowe zbrzydło. Przybrało postać zatrutego, zgniłego jabuszka. Jeden łyk, a ona wciągnęłaby się w to błędne koło od nowa. Wybiegła z pijalni. Biegła przed siebie. Wciąż myślała o tym co powiedział Andrew. Przewróciła się o kamień i zaczęła płakać. Jak pech to pech. Niech to wszystko runie od razu. Runąć jednak nie mogło. Coś ciągle podtrzymywało ten okrutnie kruchy świat. Andrew miał rację. Nic jej tu nie trzyma. Babcia już od dawna kazała jej stąd wyjechać i zacząć żyć nie tylko wspomnieniami ale i teraźniejszością. Wokół przechodzili ludzie. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Kompletnie nikt. Każdy miał jakieś problemy. Zasłoniła się ramionami i przybrała postać żółwia. Stworzyła pancierz nie do przebicia. Jakby się przed czymś broniła.

-Tatulku, dlaczego tu ciebie nie ma - pomyślała

Jej ojciec był znacznie dalej. Francis musiał wstąpić do wojska. A Mary? Słuch o niej zaginął. Ostatni raz jak wychodziła z domu miała do wykonania zadanie. Miała przekazać tajną wiadomość. Udało się jej przedostać aż do Francji. Tam ponoć zatrzymał ją patrol. Dlaczego to robiła? Chciała się dowiedzieć gdzie jest jej mąż. Szukała wszędzie. Dosłownie wszędzie. Nie spodziewała się go zobaczyć w Francji, lecz czuła, że musi tam pojechać.

Ja sama nie widziałam ich wyjazdu. Sophie napisała tak w swoim pamiętniku, więc i ja to wam przekazuję.

I tym sposobem Sophie została sama. Okres dojrzewania był trudny. Przecież mama jej obiecała, że wróci! Nie wróciła...

Sophie wstała z kolan. Była zupełnie inną kobietą. Już od kilku lat była ciągle osamotniona i zmęczona. Na tej uliczce przeszła wewnętrzną przemianę. Nie chciała już tak dłużej żyć. Chowała się po kątach jak szara myszka. Zrozumiała, że przez ten cały czas nie ograniczała ją tylko wojna, lecz także ona sama.

“TO POGRZEB STRACHU”

W drodze do domu spojrzała na sąsiedni dom. Dom Janet. Musiała zamknąć sprawy z przeszłości, aby rozpocząć nowy rozdział w swoim życiu. Przeskoczyła przez drewniany płot tak jak kiedyś. Otworzyła drzwi. Ledwie się trzymały. Zresztą tak jak cały dom. Drasnęła go bomba. Została połowa. Na szczęście pokój jej rodziców ocalał! I akordeon ojca! Człowiek cieszy się z małych rzeczy. Chwyciła za walizkę. Spakowała się. Wzięła też akordeon ojca. Zajrzała do piwnicy, ale w niej już nic nie było. Zapasy się skończyły. Wróciła do pokoju rodziców. Położyła się na łóżku rodziców. Wciąż czuła ich zapach. Przesiąknął on wszystko. Każdą poduszkę, każde prześcieradło. Dzięki Bogu. Pozwoliło jej to zapamiętać ich posturę, śmiech i dobroć. Sophie zasnęła. Cekał ją ciężki dzień, a może właściwie to rok albo kilka lat.

Anglia 4 grudnia 1944

Zapewne już się pogubiliście. Wybaczenie. Muszę was jednak uświadomić, że to dopiero początek. W życiu Sophie jest pełno niedomówień. Pełno pytań i brak odpowiedzi. Takie jest jej całe dotychczasowe życie. Bywało lepiej. Być może urodziła się w złych czasach? Nie wiem. Ona też tego jeszcze nie wie. Próbuje jednak poznać prawdę. Wstaje więc z łóżka i zaparza herbatę. O dziwo dzbanuszek przetrwał wzloty i upadki. Jest wierny temu domowi. Nie ma wiele czasu. Jest ranek. Umówiła się z Andrew. Ostatni raz żegna się z domem Janet i drewnianym płotem. Ale chwila. Coś zatrzeszczało, gdy przechodziła przez płot. Deska wypadła. Nie przejęłaby się tym zbyt, gdyby nie zobaczyła małej książeczki. To był poradnik harcerski. Schowała go między deskami. Ile lat minęło? Dziesięć? Książka była dość wilgotna, choć była schowana tak głęboko. Przesunęła palcem po grzbiecie książki. Pomięła okładkę. Ważne było to co jest w środku. Otworzyła więc kapsułę czasu.

“PORADNIK HARCERSKI”

TOM I

Wersja dla dziewcząt wg. J.H.

Wydawnictwo (rozmażane)

PAKT PRZYJAŹNI

Rozerwalność: Wykluczona

Termin: Wieczność

Strony inicjujące pakt: Sophie i Janet

Przysięga: Zawszę przyrzekam bronić mej

ukochanej przyjaciółki nawet w obliczu

zagrożenia. Będę jej oddaną powierniczką

sekretów i nigdy nie zdradzę jej tajemnicy.

Będę bronić jej honoru i życia nawet w imię

podważalnych zasad, bo od tej nocy jesteśmy krwią i

sercem złączone na wieczność.

Zapieczetowane dnia: 24 listopada 1934

Pieczątki: (kilka kropelek spuszczonej krwi)

Życzymy milej lektury!

~Wydawnictwo

Sophie uśmiechnęła się. Przypomniała jej się ta piękna noc listopadowa. Wtedy była szczęśliwa. Tuż po zajęciach z harcerstwa przyjaciółki usiadły na płocie. Patrzyły się w gwieździste niebo i złożyły śluby wierności. Sprawily, że książka stała się wyjątkowa. Janet wciąż przy niej była. Ta książka była niepodważalnym dowodem jej obecności. Ona wciąż czuwała nad swoją przyjaciółką.

“FENIKS ODRADZA SIĘ Z POPIOŁÓW”

Czuła się jak wolny feniks. Teraz mogła dokonać wszystkiego. Chciała pożegnać się z babcią. Zaszła więc jeszcze na plebanię. Zapukała w dębowe drzwi. Otworzył jej pastor.

-Niech będzie pochwalony. Czy jest Pani Hedwig? - spytała

-Witaj Sophie. Pani Hedwig!? - zawołał pastor

-Oh przestań jęczeć. Mam reumatyzm i pozwól łaskawy królu, że zejść powoli po tych krętych schodkach. Przy okazji, kiedy już wołasz. Kto projektował tę plebanię? Jest tu niemalże kilometr od kuchni do jadalni ogrodowej. Nie do pomyślenia! Absurd! - narzekała schodząca powolutku swoimi małymi nóżkami Pani Hedwig

-Pani Hedwig! - krzyknęła uradowana Sophie

Pastor pomógł kobiecie zejść ze schodów i przy okazji ta pociągnęła go za ucho.

-To za projektantów. - śmiała się Pani Hedwig targając za włosy pastora

Och! Ta staruszka była usposobieniem dobra. Była darem od Boga. Choć często wspominała o różnych przywarach to robiła to z dozą radości. Żyła w największej harmonii.

-Czy zechciałaby Pani przejść się ze mną po ogrodzie? - spytała Sophie

-O! Bardzo chętnie Sophie! - odparła

Kobieta zamknęła drzwi. Weszły do ogrodu. Milczały. Podziwiała naturę. Cieszyły się chwilą. Zaraz się miała ona skończyć i przepaść w zapomnienie. Kiedy uznały, że jest już bezpiecznie uścisnęły się. Staruszka zobaczyła torby. Rozplakała się. Ptaszek odlatuje z gniazda. Właśnie tego dla niej pragnęła.

-Wiesz, że w Anglii nigdy nie zaznałabyś szczęścia? - spytała wnuczkę

-Wiem babciu. - odparła cichutko

-A co z pogrzebem Janet? - spytała

-Powiedzmy, że pożegnaj ją w bardziej oryginalny sposób. Będiesz do niej zaglądała? - zapytała Sophie

-Skarbie ja nigdy o niej nie zapomnę... tak jak o tobie. - odrzekła ze smutnymi promykami w oczach

-Możemy się już nie spotkać. - powiedziała spokojnie

-Och przestań! Myślę, że mnie nie przeżyjesz! Ja będę tu czekać. - zaśmiała się

Pani Hedwig była w podeszłym wieku. Żarty czepiały się jej jak dziecko cukru. Co gorsza jej żarty choć tak absurdalne mogły przeistoczyć się w rzeczywistość w kilka krótkich chwil. Staruszka mogła przeżyć swoją wnuczkę. Nic nie było pewne. Zupełnie nic. Jej wnuczka szła na pożogę. Dziewczyna mogła umrzeć pierwsza. Pożegnanie było spokojne. Obie się nie rozglądały. Dwie dusze odeszły w zupełnie inne strony. Wiedziały, że to był ostatni raz kiedy się pożegnały. Nigdy więcej taka chwila w ich życiu się nie powtórzy. Nigdy.

Sophie kierowała się prosto do pijalni. Jednak spojrzała na kościół. Ten sam w który wpatrywał się komisarz William. Coś ją tam ciągnęło. Może on tam będzie? Miała rację.

William siedział w drugiej ławce. Modlił się. Niechciała mu przerywać. Usiadła kilka rzędów dalej. William jednak poczuł jej obecność. Rozkojarzyło go to. Zauważył, że Sophie wpatruje się w świecę. Ona nieczuła się najlepiej. Musiał dowiedzieć się o co chodzi. Wstał i podszedł do Sophie.

-Można? - wskazał na wolne miejsce obok Sophie

-Tak. - uśmiechnęła się

-Jak się czujesz? - spytał

-Nie wiem Williamie. Wszystko się wali. - odpowiedziała

William sięgnął po małą książeczkę. To była Biblia. Otworzył ją i zaczął czytać zaznaczony fragment.

*- Zaiste, drzewo figowe nie wydaje owocu, a na winoroślach nie ma gron. Zawodzi drzewo oliwne, a rola nie dostarcza pożywienia. W ogrodzeniu nie ma owiec, a w oborach nie ma bydła. Lecz ja będę radował się w Panu, weselił się w Bogu mojego zbawienia. Wszzechmogący Pan jest moją mocą. Sprawia, że moje nogi są chyże jak nogi łań, i pozwala mi kroczyć po wyżynach. **Hab 3, 17 – 19***

Sophie milczała.

-Zastanawiałem się nad tym fragmentem. - odparł

-Myślisz, że powinnam przyjąć postawę jak prorok Habakuk? - spytała

-Nie mam pojęcia Sophie. To od ciebie zależy jak na to wszystko spojrzysz. Jesteś bardzo odważna, dobra i mądra. Wybierzesz mądrze. Wiem to. - powiedział czule

-Dziękuję. - powiedziała spoglądając mu w oczy

Chwycił ją za dłoń.

-Sophie! Ależ masz zimne dłonie. - odparł po czym szybko zaczął je grzać

Sophie zaczęła się śmiać.

-O co chodzi? - zapytał uśmiechając się do niej

Ona zaś przyglądała się jego rysom twarzy. Jego kości policzkowe były mocno zarysowane, a brązowe loki spadały na skronie. Coś jej jednak nie pasowało w tych boskich ateńskich rysach twarzy.

-Powinieneś zapuścić wąsa. Komisarze zawsze kojarzyli mi się z powabnymi i zadbanymi wąsami. Nie psuj mojego wyobrażenia. - zaśmiała się

Sophie potrafiła pocieszyć Williama. Jej obecność sprawiała, że zaczynał wierzyć w siebie. Zresztą Sophie już chyba miała taki wpływ na ludzi. Każdy ją uwielbiał, choć nie każdy na nią zasługiwał. Williama z otwartością przyjęła w swój krąg bliskich jej ludzi. Siedzieli tak jeszcze z piętnaście minut. Teraz Sophie była pewna. To nie był szpieg. To był jej przyjaciel.

William zauważył torbę Sophie.

-Opuszczasz miasteczko? - spytał

-Nie.. nie. - skłamała

William wyczuł kłamstwo. Nie dopytywał się jednak. To nie było przesłuchanie, a on nie miał żadnych praw do niej. Znali się zaledwie kilka dni.

-Musi mi zaufać... - pomyślał

Pozostawił więc temat odłogiem i postanowił dać jej odetchnąć. Wiele przeszła. Pocałował ją leciutko w czoło zamykając przy tym oczy. To był tylko przyjacielski całus w czołko. Tak przynajmniej argumentował go w swoich myślach. Jej włosy pachnęły owocami. Zapach ten pozostał w jego głowie i jak narkotyk działał przez dłuższy czas.

Kiedy William wrócił do swojego mieszkania odbył dłuższą drzemkę. Nie spał praktycznie w ogóle od kilku dni. Kiedy się obudził zaczął zastanawiać się nad torbą Sophie. Co w niej było? Dlaczego ją wzięła do kościoła? Dlaczego go okłamała? A może mówiła prawdę? Ale przecież on wie, kiedy ktoś kłamie! No ale tak to Sophie... Ona jest zupełnie inna niż wszyscy. Jest wyjątkowa... Da sobie radę! Ale jeśli coś jej się stanie!?! Jeśli znowu spotka ją coś złego i nie będzie mógł jej przytulić? William zaczął obsesyjnie szukać jej zapachu. Aromat owoców leśnych rozmył się podczas snu. Chciałby ją jeszcze raz ujrzeć. Choć na chwilkę... I zobaczyć czy się dobrze czuje. Może coś ją trapi? Zaczął zastanawiać się kto może coś o niej wiedzieć. W końcu naszała go myśl. Myśl smutna i druzgocząca. Sophie nie miała nikogo. Była sama. Jakże on był wściekły! Nie na nią, lecz na siebie za to, że ją zostawił w kościele. Gdyby tylko został z nią jeszcze chwilkę... Przez głowę przechodziły mu przerażające myśli. A co, jeśli ona wołała o pomoc? Co, jeśli zrobi sobie krzywdę!?! William panicznie chwycił za płaszcz. Nie mógł jej stracić. Choć ją dopiero co poznał była dla niego wszystkim. Jako policjant wiedział, że świadkowie takiego zdarzenia powinni być objęci opieką. Kiedy dojechał na komisariat zadzwonił na każdą stację kolejową i pytał się dosłownie każdego czy może jej nie widział. Dziewczyna rozplynęła się w powietrzu. Zupełnie jak żona Pana Evansa. Chwila... Andrew – syn Pana Evansa chyba znał się z Sophie? William pośpiesznie ruszył w stronę pijalni, aby czegoś się od niego dowiedzieć. Został tylko barmana zamykającego pijalnię.

-Dlaczego Pan zamyka? Andrew nie zajmie się pijalnią po ojcu? - spytał

-Panie Komisarzu muszę Panu przekazać smutne wieści. Rodzinny biznes Evansów splajtował. Andrew wyjechał. - odpowiedział

-Wiesz może zatem gdzie jest? - spytał

-Nie mam pojęcia. - odrzekł

Morderstwa dokonywane przez fanatyka Hitlera. Nagłe zniknięcie Sophie. Rana postrzałowa w udzie Pana Evansa. Wojna. Oburzenie mieszkańców miasteczka. William miał dosyć. Załamany usiadł do swojego biurka. Przez dłuższy czas nie opuści komisariatu. Był tego świadomy. Przyniósł więc gruby sweter i koc do biura. Nie podda się.

“BO NAJWAŻNIEJSZA JEST NADZIEJA”

To było jego motto. Spojrzał na dokumenty. Literki mu się mieszały, zmieniały miejsca.

-Psiakrew! - krzyknął i uderzył w stół

Kartki rozleciały się w powietrzu.

-Zakochałem się... - dodał

Był tym faktem zawiedziony. Do tej pory nic mu nie stawało na drodze. Spojrzał na motto zapisane na karteczce.

-Jest nadzieja, że ją znajdę i będzie bezpieczna. Dam radę. -pomyślał i chwycił za teczkę

Gdzieś na Morzu Północnym 5 grudnia 1944

Sophie znajdowała się na statku. Skupiła wzrok na beczkach. Zapewne to były jakieś ładunki. Gdyby coś poszło nie tak zniknęłaby w niecałą sekundę. Atomy rozeszłyby się w każdą stronę. Nie przejęła się tym faktem zbyt. Bała się co ją spotka gdy dotrze na miejsce.

-Fajtłapo? Śpisz? -szepnęła

-Nie. - odparł

-Jak ty to sobie wyobrażasz? Rozpoznają mnie. - mówiła

-Proszę zapomniałem ci to dać. - podał jej nożyczki, farbę i szmatkę

-Po co mi to? - zapytała z oburzeniem

-Sophie przestań mnie pytać o takie rzeczy. Wiesz co zrobić. - syknął uciszając ją

Sophie spojrzała na nożyczki. A więc musiała ściąć włosy. Chwyciła za pordezewiałe nożyce. Zrobiła to szybko. Nie miała żadnego sentymentu do tych włosów. Wręcz przeciwnie. Przeszkadzały jej one w codziennych czynnościach. Poza tym szampon był bardzo drogi. Ścięcie włosów było inwestycją. Spojrzała na farbę.

-A więc teraz stanę się Niemką. - szepnęła

-Tak. - powiedział Andrew

-Tu są twoje dokumenty. Od dzisiaj jesteśmy niemieckim małżeństwem. Przyjechaliśmy do Hamburga, aby założyć rodzinę i przedłużyć aryjską rasę. - dodał

Ich obojga przeszły dreszcze. Andrew był obrzydzony swoimi słowami.

-Ja pomszczę rodziców, a ty Janet. Pamiętaj dla kogo to robimy. - dodał

-Ale chyba nie będziesz mi kazał rodzić dzieci. - zaśmiała się

-Nie tknąłbym cię nawet palcem. - odwzajemnił uśmiech

-Fajtłapo! - uderzyła go w ramię

Andrew potrafił rozśmieszyć Sophie. Uwielbiał się z nią sprzeczać. Oboje się uśmiali.

Sophie chwyciła farbę i robiła to co należy.

-Powiem ci fajtłapo, że wybrałeś naprawdę piękny blond... taki niemiecki. -zaśmiała się

-Ja blondyn i ty blondyna. Ja mam niebieskie oczy i ty masz niebieskie oczy. Mówię ci Sophie. Pokochają nas. Szybko wejdziemy w śmietankę towarzyską i wszystko się o nim dowiemy. - powiedział

-Ale co tak właściwie będziemy robić? - spytała

-Dobre pytanie Sophie. Słyszałaś może o szanownej Pani Laber i jej mężu? - spytał z szyderym uśmiechem

-Podszywamy się pod kogoś kto żyje? Zwariowałeś? - oburzyła się

-Nie do końca Sophie. Państwo Laber zostali jakby to rzec.... - szukał odpowiedniego słowa

-Wyeliminowani z gry? - spytała

-Otóż to. - odrzekł

-Ktoś o tym wie? - spytała

-Nikt. Zapewne w Niemczech ubolewaliby nad tą stratą. Przecież stracili ludzi zajmującymi się małymi egzekucjami Żydów. Państwo Laber zajmowali się tym tak dla zabawy. - odparł wściekły

-Ja nigdy nie przyłożę ręki do śmierci moich braci. - powiedziała

-Ja też Sophie. Dlatego będziemy mieszać w papierach. Będziemy się zajmować wymyślonymi egzekucjami! - odparł szczęśliwie

-A co z tymi ludźmi? Będziemy ich trzymać w piwnicy czy może w szafie? Pomyślałeś o tym? - syknęła

-Sophie ja nie jestem durniem. Wszystkim się zajmę. Ty masz udawać szanowną Panią Laber. A i pamiętaj o "Heil Hitler". Oni to lubią. -odpowiedział

Sophie była w trakcie koloryzacji włosów. Po jakimś czasie skończyła.

-I jak wyglądam? - spytała

-Jak Niemka. Dodaj czerwoną szminkę. Wyglądasz jak sobowtór Pani Laber. - odparł śmiejąc się

-Jakie ona nosiła ubrania? Jakiś konkretny kolor? Może jakiś krój? Nosiła kapelusz? Rękawiczki? - spytała

Andrew zaśmiał się.

-Co? - spytała zdzwiona

-Ważne, żeby było drogie. - zaśmiał się

-A co z tobą, Andrew? - spytała zawijając włosy w szmatkę tak aby uformowały się piękne loki

-Zanim dojedziemy do Hamburga to ogolę zarost. Jestem blondynem i mam niebieskie oczy, Sophie. To się dla nich liczy najbardziej. Państwo Laber od kilku lat przebywało poza granicami Niemiec. Poza tym naprawdę wyglądamy jak oni. Nie zorientują się. - powiedział

-Oby. - dodała przewracając oczami

-Sophie musisz zaufać temu planowi. Jak myślisz co robiłem przez ten cały czas, kiedy się z tobą nie kontaktowałem? Zaplanowałem wszystko. Nie jestem już takim fajtlapą jakim mnie znałaś. Wojna mnie zmieniła. - odrzekł

Andrew mówił prawdę. Zaplanował wszystko. Pomiął jednak jeden mały szczegół, ale dowiecie się o nim później. Ponad to coś ukrywał, ale bał się rozmowy o "tym czymś". Niewiedział jak Sophie zareaguje na tą wiadomość. Świat by go spławił i zbluźnił. Wiedział, że Sophie pogodziłaby się z tym faktem. Być może nawet by go zmotywowała, aby walczyć o to czego pragnie. Jednak bał się ją utracić. Była dla niego naprawdę ważna. Niechciał jej skrzywdzić. Jednak musiało to kiedyś nastąpić. Ale nie teraz. Tajemnica przyjaciela Sophie odryje się przed wami za kilkadziesiąt stron. Tymczasem wróćmy myślami do zimnych desek i kołysania w brzuchach nieformalnych pasażerów statku.

Sophie siedziała na swojej torbie. Było strasznie ciemno i zimno. Świeciła się jedynie jedna świeca. Jeden promyk nadziei.

-Sophie zagraj coś. Mam dosyć tego ciągłego szumu. - poprosił

-Akordeon jest za głośny. - dodała

-To zaśpiewaj. Masz piękny głos. Może tą piosenkę w pijalni? - spytał

-Masz na myśli tą piosenkę, kiedy stepowałam na stołku? - zaśmiała się

-Tak. Była piękna. Wtedy przypomniła mi się matka. Miałem wrażenie, że moje serce się kurczy i ścisza. Przypomniła mi się jej śmiech. Byłem wtedy pełen nadziei. - odparł przymrużając oczy ze zmęczenia

Sophie zaczęła cichutko śpiewać. Własną kołysanką się usypiała. Myślała o jej biologicznej matce i babci. Tęskniła także za przybranymi rodzicami. Usnęła wkrótce.

Sen Sophie

-Mamo? Mamo jesteś tu? Miałam straszny koszmar. -spytała mała dziewczynka

-Jestem tu skarbie. - odpowiedziała pewna kobieta

Dziewczynka wpatrywała się w urodziwą kobietę. Oglądała ją z każdej strony. Nie mogła uwierzyć, że jest przy niej. Podziwiała jej kruczne włosy i brązowe oczy, ale najbardziej skupiła się na jej uśmiechu. Był tak piękny.

-Śniło mi się, że ciebie już nie było. - łkała

-Ależ ja zawsze przy tobie jestem Ruto. Zawsze. Niezależnie co się stanie. I pamiętaj... - mówiła

Nagle do pokoju wbiegła przestraszona starsza kobieta.

-Sarah musimy porozmawiać. Prędko. - pospieszała ją

-Ale mam! Co się dzieje? Ruto miała koszmar. Poczekaj chwilkę. - odparła spokojnie

-Błagam cię. Ona nie może tego słyszeć. - mówiła szybko

-Dobrze. - matka dziewczynki opuściła pośpiesznie pokój

Dziewczynka imieniem Ruto przybliżyła się do drzwi.

-Bojkot sklepów. - odparł zdyszana starsza pani

-Ale jak to? Co z naszym sklepem? Co z Joachimem? - spytała mając łzy w pięknych kasztanowych oczach

-Kochanie... przykro mi, ale nie wiem gdzie on jest. Widziałam tylko posterunki umundurowanych funkcjonariuszy bojówek SA. Joachim kazał mi iść do domu. - staruszka zalała się łzami

-O Boże. A jeśli mu zrobią krzywdę? Muszę tam iść! - zaczęła już ubierać płaszcz, ale za rękę chwyciła ją staruszka

-Córciu ubierz Rutę. Musimy stąd wyjechać. Musimy. Nie będzie lepiej. - mówiła zdenerwowana

-A Joachim? Ja bez niego nie jadę. - odparła stanowczo

-Ale... Co z Rutą? Ona nie będzie tu bezpieczna. Dzieci wkrótce zaczną ją przezywać, a może i bić. Sarah nie możemy tu zostać. - próbowała ją przekonać

Nagle z pokoju wybiegła Ruto.

-Ja nie chcę! Nie chcę! Nie chcę! - krzyczała

-Dobrze Ruto. Będziesz się musiała pożegnać z braciszkiem, ale tylko chwilowo. Dobrze? - spytała ją matka

-Z Ahmedem? No dobrze... Ale obiecujesz, że potrwa to tylko chwilkę? Małą chwilkę? - spytała

-Tak. - odparła

Kobieta spojrzała na swoją matkę. Nie było innego wyboru. Najpierw młodszy Ahmed, a później Ruto. Wszędzie indziej byle nie tutaj. Musieli się stąd wynieść. Chcieli to zrobić

dobrowolnie za nim ich stamtąd wyrzuca. Byli biedni. Transport był drogi. Zbyt drogi. Poza tym musieli to zrobić potajemnie. Czekali na moment, kiedy na ulicach wybuchnie fala prześladowań. Być może zabrzmiało to groteskowo, ale czekali gorączkowo na ten moment. Po prostu nie było innego wyboru. Trzeba było to zrobić w popłochu, wśród tłumów i krzyków.

-Sarah ja znajdę dla nas miejsce. Obiecuję. - odparła starsza kobiecinka

-Mamo boję się. - odparła kobieta

Nagle mocniej potrząsnęło szalupą. Sophie się obudziła. Próbowwała zasnąć jeszcze raz. Potok łez cisnął się jej do oczu. Przypomniała jej się rodzina. Jak bardzo za nimi tęskniła, a ich już nie było. Jej mały braciszek Ahmed zaledwie tydzień po tej rozmowie zmarł na suchoty. Wszyscy płakali. Ruta straciła swoje szczęście. Swojego braciszka pożegnała na skromnym pogrzebie. Pamiętała ten dzień. Jej twarz była cała mokra. Łzy łączyły się z deszczem. Wszędzie było błoto. Wszędzie bagna. Wokół las. Jej braciszek został sam. Sam w tym lesie! Kopała małymi nóżkami, wrzeszczała i płakała. Oni jej tam nie zostawili, aby dotrzymywała towarzystwa braciszce. Dlaczego zostawili go samego? Dlaczego?! Ahmed został sam pośród głuszy. Już nikt go nigdy nie odwiedził. Sarah – matka Ruty pograżyła się w żałobie. Nigdy się już nie uśmiechała. Mimo tak tragicznych wydarzeń umiała zadbać o córkę. Co prawda wstrzymała opcję przeprowadzki, chociaż można by rzec, że trafniejsze słowo to ucieczka. Coś ją wiązało z tym miejscem. Oprócz śmierci synka była zobowiązana przysięgą małżeńską ze swoim mężem - Joachimem. Czekala więc. Tak mijały dni, tygodnie i miesiące. Wkrótce nadzieja o jego powrocie minęła. Trzeba było uciekać. Uratować chociaż córkę. Sophie każdej nocy widziała na jawie ich ucieczkę. Zapamiętała zapach farb i obraz stłuczonych szyb w sklepach. Skupiła wzrok na pewnych raniących ją słowach.

“NACH DACHAU! UNTERMENSCHEN!”

“DO DACHAU! PODLUDZIE!”

Wysmarowane farbą literki zraniły jej małe serduszko. Jeszcze do końca nie wiedziała czym jest Dachau. Dopiero kilka lat później przywołując te przerażające wspomnienia zrozumiała, że została zrównana z gnojem. Spostrzegła, że wcześniej tych napisów tu nie było. Dlaczego więc się pojawiły? Tak nagle... jakby z boskiej, gromowładnej ręki. Zostały napisane myślą boga... niemieckiego boga - Hitlera. Ich sklep był zdewastowany. W jej pamięci utkwił jeszcze on. Wysoki, potężny mężczyzna w mundurze. Zapamiętała jego rękę. Była wystawiona ku górze. Ku słońcu. Wtedy on na nią spojrział. Ona zamarła. Serce przestało bić. Krew przestała przepływać. Twarz zrobiła się blada. Nogi giętkie. Oczy śmiercią przestraszone. On zaś się tylko uśmiechnął. Wyszczrzył kły. Wbił je w jej serce. Zatopił się w nim i rozdarł na kawałki. Celował. Co za pech! Nie trafił w dziewczynkę. Kobieta trzymająca ją za rękę okryła jej wątłe ciało. Coś krzyknęła. Bodajże do dziewczynki. Ta nie chciała jej zostawić. Krzyknęła jeszcze raz. Wyraźnie i dosadnie.

“KOCHAM CIĘ. TERAZ BIEGNIJ! BIEGNIJ! BŁAGAM BIEGNIJ! SPOTKAMY SIĘ NA MIEJSCU ZA KILKADZIESIĄT LAT. OSIĄDZIEMY W NASZEJ PRZYSTANI.”

Kobieta osunęła się o witrynę sklepu pozostawiając bordowy ślad. Perfumeria były świadkiem krwawego spektaklu. Aktorem było życie. Reżyserem śmierć. Dziewczynka uciekła i pozostał trup. Od tego momentu szukał swojej ofiary. Jego zwierzyzna wypadła mu z rąk! Teraz drobna sarenka szła do drapieżnego wilka. Prosto w jego paszczę, tak jak tego pragnął kilka lat temu. Właśnie on jest celem jej podróży. Spotkają się po latach. Oboje oczekują tego spotkania.

Sophie w końcu zasnęła. Stoczyła batalie, której musi stawiać czoła każdej nocy. Walczy ze wspomnieniami. Każdy koszmar jest pewnym wspomnieniem. Wspomnieniem, od którego nie da się uciec całe życie i trzeba z nim żyć. Czasami marzy o koszmarach, w których spada z dużej wysokości. Może poczułaby się jak ptak. Pragnęła unieść się w górę i podziwiać ogrom świata. Co prawda upadek byłby bolesny, bo obudziłaby się w tym świecie. Świecie pełnym obłudy i okrucieństwa. Może jednak zapomnieć tym pragnieniu. Do końca życia będzie to krew. Takie koszmary są jej przeznaczone. Po prostu urodziła się Żydówką. Nic nie zrobiła, była niewinna i dobra. Hitlerowiec zaoferował jej wachlarz przykrych wspomnień na resztę życia. Trzeba przyznać, że hitlerowcy dawali spory wybór “atrakcji”. Najbardziej jednak lubili ogień. Płomienie budziły w nich niezbadane pragnienie mordu. Palili wszystko. Zarówno książki, jak i ludzi. Dziwne “hobby”. Ogień Sophie zapamiętała najbardziej. Był wszędzie. Nienawidziła widoku tego żywiołu. O dziwo kierowała się do miejsca, w którym wielbią żar i dym. Co za sprzeczność. Jeszcze kilka lat temu stąd uciekała. Teraz idzie na rzeź.

Blisko Bremerhaven 6 grudnia 1944

- Jeszcze chwila Sophie. Jeszcze chwila. - mówił spokojnie Andrew
- Denerwuję się. Im bliżej brzegu tym bardziej ściska mnie coś w gardle i nie pozwala wypuścić. - odparła
- Musimy się czym zająć. - stwierdził
- Może “Mein Kampf”? - zaśmiała się
- Nie powiem przyda się. Coś ci pokaże. - chwycił za książkę i pióro
- Spójrz. - powiedział
- Mhm. Widzę. - spojrzała na rysunki
- To stała Archimedes. - powiedział

-Andrew wiem, że to jest liczba pi. Co z nią zamierzasz zrobić? Rozpiszesz ją? Tak chcesz zająć ten czas? Możesz tak w nieskończoność. Wiesz o tym? - śmiała się

-Wiem. Dlatego spójrz na to. - narysował koło

-Wyobraź sobie, że to koło od twojego roweru. - powiedział

-Ale ja nie mam roweru. - odparła

-To sobie wyobraź, że go masz. Masz go już? - zapytał

-Mam. Jest piękny. Koloru błękitnego. Z przodu w koszyczku znajdują się kwiaty polne, Wracam z łąki. - marzyła

-To cudownie. Pi to stosunek obwodu koła do jego średnicy. - dodał

-Francis mi kiedyś o tym opowiadał. Naucz mnie jeszcze czegoś! Proszę! - zrobiła kocie oczy

-No dobrze, ale to już ostatnie zagadnienie. Musimy się przespać. Czeka nas ciężka droga. Zrozumiano? - spytał

-Zrozumiano! - wydała okrzyk radości niczym dziecko

Po raz pierwszy od kilku lat ktoś poświęcił jej chwilę czasu. Jakże ona uwielbiała poznawać nowe rzeczy!

-No mów, bo nie wytrzymam tak dłużej! - pośpieszała

-Dobrze, dobrze no już. Spójrz na te deski. Widzisz coś w nich. Jakąś zależność? - spytał

-Oprócz tego, że są tak samo spróchniałe i twarde to nic nie przychodzi mi do głowy. - zaśmiała się

-Widzisz przerwy między nimi? Są takie same? - spytał

-No tak. I co w związku z tym? - pytała dociekliwie

-Wyobraź sobie, że przerwy między tą deską to proste. Widzisz to? - zapytał

-Jak ta lala! - odparła radośnie

-Te dwie proste na płaszczyźnie są równoległe, jeżeli mają równe współczynniki kierunkowe a. - odparł

-Chyba nie rozumiem. Narysujesz to? - poprosiła

-Jasne, To jest pierwsza prosta. Podpiszemy ją.... hmmmm niech pomyślę. - zwlekał i kątem oka patrzył na Sophie

-Niech będzie $y=3x+1$. - odparła

-Świetnie Sophie. A więc druga będzie przykładowo wynosić $y=3x-20$. To co stoi przy x, czyli współczynnik kierunkowy a jest taki sam w obu przypadkach, Są więc one równoległe.

- podsumował

-Łatwizna! Naucz mnie jeszcze czegoś! - prosiła

-Jak chcesz to nauczę cię skręcania papierosów. - zaśmiał się

-Oj weź! Ależ mi zajęcie! - oburzyła się

-Sophie weź to. - podał jej książkę autorstwa Adolfa Hitlera

-Muszę znać to jak pacierz, ale nie mogę tego czytać. - posmutniała

-Lepiej. Musisz lubić to jak matematykę. Jest to obowiązkowa pozycja w hitlerowskich Niemcach. - westchnął

-Verstehen? (zrozumiano) - dodał

-Ja. (tak) - odpowiedziała

-Wiesz co może naucz mnie tego skręcania papierosów. - zaśmiała się

Andrew pokazał jej wszystkie czynności po kolei. Szybko zaczęła robić postępy. Jeszcze dziesięć lat temu nie wyobrażała sobie skręcającej papierosy. Jako mała dziewczynka marzyła o byciu aktorką lub wykładaniu na uniwersytetach. Kiedy dorosła zrozumiała, że wszystko będzie musiała wywalczyć. Nawet prawo do nauki. Prawo do ŻYCIA. Zaczynała od papierosów. O dziwo pomogły jej przeżyć.

-Nie martw się. Nie zabraknie ci matematyki w hitlerowskich Niemcach. Oni muszą mieć wszystko przeliczone. Co do jednego. - odparł i posmutniał

Andrew pocałował Sophie w rączkę. Przygotowywał się.

-Hallo Ehefrau! Wie war dein Tag? (Witaj żono! Jak ci minął dzień?) - zapytał poważnie

Sophie zaczęła się śmiać. Nie mogła opanować niekontrolowanych napadów śmiechu. Andrew w roli męża sprawdzał się nijako.

-Jesteś zbyt sztywny! Lepiej żebyś spędzał ze mną mniej czasu. -śmiała się

-Ich, Frau Laber, akzeptiere keine schönen Worte und Küsse! Alles was Sie brauchen ist ein Weißgoldring mit Diamanten! (Ja Pani Laber nie przyjmuję miłych słów i pocałunków! Wystarczy pierścionek z białego złota z brylantami!) - ironizowała

Nagle zapomnieli o problemach i przyszłej akcji. Żartowali jak za dawnych czasów. Sophie ironizowałaby tak dalej, ale przestała czuć kołysanie w brzuchu.

Nagle statek się zatrzymał. Oboje byli przerażeni. Andrew wziął głęboki oddech. Tuż za nim w ślad podążyła Sophie. Skupiali się na oddechu. Trzeba było zachować dobrą minę do złej gry. Odtąd musieli praktykować wymuszony uśmiech.

-To już? Jesteśmy na miejscu? - spytała

-Sprich auf Deutsch! Lächeln! (Mów po niemiecku! Uśmiechnij się!) - napomniął

Przeszli przez dział z karabinami. Odczekali pół godziny i wyszli. Na szczęście była noc. Andrew wszystko zaplanował. Mogli spokojnie opuścić statek będąc niezauważonymi. Andrew wyciągnął wilgotną mapę. Kierował się zaznaczoną drogą. Schował jednak kawałek

zniszczonego i przemokniętego do suchej nitki papieru. Znał trasę na pamięć. Liczył kroki. Liczył metry. Liczył puls, który słyszał w swojej głowie. Już niedługo, Jeszcze trochę. Sophie szła tuż za nim kilka metrów dalej. Andrew skręcił w boczną uliczkę. Zapukał pod pożądaną adres. Sophie oparła się o mur zniszczonej kamienicy. Wyciągnęła zapalniczkę. Odpaliła ogień i wyciągnęła papierosa, którego kilka godzin temu sama skręciła. Andrew wszedł do mieszkania. Sophie odczekała dziesięć minut. Skierowała się w boczną uliczkę i stanęła pod drzwiami. Zapukała lekko w drzwi. Otworzono jej. Ależ zrobiło jej się ciepło! Czowała się dobrze. Oparła się o stołek. Andrew siedział na poniszczonej sofie w purpurowe kwiaty.

-Dlaczego jesteście tu sami? - szepnęła

-Zaraz przyjdzie. -odpowiedział

Sophie rozglądała się dookoła. Myślała, że tutaj ludzie żyją trochę lepiej. Myliła się. I to bardzo. Nagle do małego, obskurnego saloniku wszedł mocno zbudowany i wysoki mężczyzna.

-Przetransportuje was do Hamburga za kilka dni. Tymczasem umyćcie się. Tam są miski. Niestety nie mamy bieżącej wody. Łóżka polowe już wam rozłożyłem. - mówił otwarcie jakoby do swoich najlepszych przyjaciół

Mężczyzna skupił uwagę na towarzyszu Sophie.

-Chyba się znają. - pomyślała

-To jest Sophie. - Andrew przedstawił ją gospodarzowi

-Oh.. Wybacz Sophie. To przez to rozstargnienie. Jestem Frank. - podał jej rękę

-Sophie i dziękuję. - odwzajemniła uścisk dłoni

Sophie nie wybrzydzała. Była nawet szczęśliwa. Łóżko polowe i ciepła woda były dla niej luksusem. Teraz były rajem i pragnęła tego rajku zażyć w całości. Długo się nie myła. Chciała się pozbyć tego okropnego zapachu.

-Odpocznijcie. Andrew... wiesz co? - spojrzał na przybysza

-Hm? - spytał uśmiechając się do niego

-Faktycznie jesteście podobni do tej przeklętej rodziny. - zaśmiał się

Sophie już go polubiła. Umyła się i położyła w zimnym łóżeczku. Pościel była chłodna. Niecałą godzinę później na drugim łóżku położył się Andrew.

-Wiesz co Andrew? - spytała, a on słuchał

-Jest pewien plus tego wszystkiego. - mówiła powoli

-Jaki? - spytał

-Od wody morskiej mam kręcone włosy. Spójrz jak sprężynki! - leniwie podniosła się z łóżka

Andrew przyznał jej rację i uśmiechnął się.

-Już niedługo Sophie. Wiem, że to dopiero początek, ale damy radę. Kiedyś to się skończy. - odparł

-Wiem... Kim jest dla ciebie Frank. Jakim cudem tak dobrze zna angielski? - pytała

-Jest moim dobrym przyjacielem. - wahał się

-I...? - dopytywała

-Uczyłem go angielskiego. Spędziliśmy dużo czasu razem. - powiedział

-Wierzę ci. Jeśli ty go uważasz za prawdopodobnego ja także. Twój przyjaciele są moimi. - szeptała

-Dobranoc Andrew. - wyszeptała i utliła się w kołderkę

-Dobranoc Sophie. - odpowiedział cichutko

Tej nocy Sophie także śniła się krew i matka. Była w kraju, który kiedyś tak kochała. Przebudziła się około trzeciej nad ranem. Andrew gdzieś wyszedł. Nie było go w łóżku. Rozglądnęła się po pokoju. Usłyszała szmer rozmów mężczyźni. Zapewne rozmawiali o czymś ważnym. Nie chciała jednak podłuchiwać. Może to były prywatne sprawy. Czuli się bezpiecznie. To jej wystarczyło i nie chciała wpychać nosa w nie swoje sprawy. Leżała na twardym łóżku. Wstała. Rozpakowała swoją walizkę. Spojrzała na zdjęcia.

-Janet... - powiedziała cichutko przejeżdżając palcem po fotografii

Przechyliła głowę na bok jakby dopatrując się czegoś w fotografii swojej przyjaciółki. Łezka spłynęła po jej policzku wprost na zdjęcie. Wzięła tylko te zdjęcie ze sobą. Zresztą tylko takie miała. Mary i Francis nie było stać na fotografa. Nie miała im tego za złe. Zdjęcia jej biologicznej matki i ojca spłonęły w Niemczech. Może to i lepiej... Jej prawdziwa tożsamość spaliła się z całym domem. Mogła czuć się trochę spokojniejsza. Starła się jak najbardziej zapamiętać ich wszystkie twarze. Teraz dojdzie do tego Janet.

-Przepraszam i żegnaj Janet. - podarła zdjęcie i wrzuciła je do kominka prosto w ogień

Podziwiała iskierki. Latały wokół jej oczu, myśli. Wpatrzyła się w ogień. W jej oczach się dosłownie paliło. Nie płakała. Ruszyła ręką w bok. Delikatnie podniosła ją do góry. Z drugą postąpiła tak samo. Wyprostowała się. Stała na palcach. Powoli rozluźowała mięśnie w stopach i zaczęła tańczyć. Cały świat wirował. Wszystkie myśli i wspomnienia. Ona cała latała. Unosiła się nad ziemią. Miała magiczne, wymyślone baletki. O takich których zawsze marzyła. Uniosły ją ponad ten okrutny świat. Była w innym miejscu. Jej całe ciało przeszywało wspomnienie muzyki. W jej głowie grały skrzypce, fortepian, akordeon. Słyszała gwar ludzi i oklaski. Pamiętała ten dzień, kiedy zakradła się z Andrew i Janet do ogromnego teatru. Jakaś piękna kobieta tańczyła na scenie w rytm muzyki. Ona w swojej wyobraźni była tą piękną baletnicą. Nic jej nie ograniczało. Wtedy zapominała o krwi. Zapominała o życiu. Nie było jej. Była tylko harmonia. Dlatego tak kochała się otaczać muzyką. Rozmyślała. Pomyślała o Williamie. Czuli, że dusza chce wyjść z tego ciała wprost ku niemu. Serce jej biło zgodnie z muzyką grającą w jej głowie. Biło coraz szybciej. Ona

coraz szybciej tańczyła. Przed jej oczyma wśród promieni ognia przelatywały rozmazane twarze mamy, taty, małego braciszka, Mary, Francisa, Andrew, Janet, babci i ... twarz jej ukochanego. Tańczyła coraz to zwinniej, szybciej i bez opamiętania, aż jej serce nie wytrzymało. Osunęła się na podłogę. Zasnęła?

Anglia 8 grudnia 1944

William wstał. Poranek był piękny. Usiadł na krześle. Jego balkon choć bardzo mały to spełniał swoją rolę. Mógł tu odpocząć. Patrzył skupionym wzrokiem na miasteczko. Pił kawę. To że wstał nie oznaczało, że się wyspał. Sen miał przerywany i niespokojny. Jego pies głośno pochrapywał. Kochał jednak tego szczeniaka. Był mu oddany całym sercem. Ciągle był tuż przy nim. Tak samo jak on chciał rozwiązać tą sprawę.

-To co Cruzoe? Pora na przygodę? - sporzał na psa ziewając

Pies w mgnieniu oka podniósł się i zaszczekał. Znał tą komendę. Uradowany zaczął gonić swój ogon. Kochał spacerować.

-Cruzoe! Uspokój się psino. Już idę po smycz. - William poszedł po smycz leżącą na metalowym stołku w przedpokoju

Wyszli. Szczeniak dopiero uczył się spacerować. William delektował się powietrzem. Zaraz będzie dusił się w małym biurze. Przeszli alejką. William przypomniał sobie rozmowę z Sophie, Brakowało jej tutaj. Miasteczko było zupełnie innym bez niej. Było smutniejsze. Na drzewach nie było już żadnych liści. Spadł śnieg i zrobiło się bardzo chłodno. I mieszkańcy zrobili się jacyś zamknięci w sobie. Wbrew pozorom jedna osoba może zmienić wszystko. Mieszkańcy narzekali na brak muzyki. Śpiew Sophie i melodia, która wydostawała się z akoreonu była jedyną uciechą ich kapryśnego życia. Teraz pozostawały im puste ściany i odgłosy ubolewania. Zresztą kto by był szczęśliwy gdyby musiał przez cały tydzień jeść otręby? Mieszkańcom mniejszych i odległych miasteczek nie żyło się najlepiej. Jeśli spadł śnieg wszystkie drogi były zasypane. Karetki i żywność nie mogły się przedostać przez grubą warstwę śniegu. Miasteczko pozostało samo sobie. Mieszkańcy od teraz prowadzili koczownicze życie. Wszyscy poszukiwali żywności i wody. Nikt jednak nie mógł się wydostać z tego miasteczka. Rozpoczął się dramat. Niczemu nie winni ludzie zostali uwięzieni. Często umierali, bo nie dotarli do domu. Myślicie pewnie teraz, że to wina śnieżycy? Macie (prawie) rację. Przyczyną śmierci 2/3 ludzi była hipotermia. Na ich ciałach nie było żadnych ran. Po prostu nastąpiło wychłodzenie organizmu? Co z 1/3? Reszta ma dosyć skomplikowaną historię. W miasteczku był uwięziony jeszcze jeden człowiek. Z wyglądu raczej spokojny i opanowany. Zawsze towarzyski. Zawsze miły i pomocny. Kobienciarz lubujący się w naukach ścisłych. Adorował matematykę. Była ona jego kochanką. Skrytą kochanką. Nikt nie wiedział o jego obiekcie natchnień. Miało tak pozostać do 25 maja 1945 roku. Popołudniami w dni wolne od pracy znalazł sobie pewne zajęcie. Określał je mianem twórczym, dodatkowym. Jego pierwszym celem na liście zadań było odnalezienie małej dziewczynki. Teraz kobiety. Będzie tak długo w tym miasteczku dopóki

jej nie znajdzie. Zabije wszystkie kobiety. Ona gdzieś tutaj jest. W tym zrujnowanym miasteczku. Wiedział tylko, że jej matka miała na imię Sarah. Wiedział też, że matka jest jej słabym punktem. Punktem zaczepienia. Miał ją na wędce, ale nie mógł jej wyłowić. Była zbyt silna. To go denerwowało. Uspokajał się po wypiciu gorącego i gorzkiego napoju. Spoglądał na kominek. Śmiał się do ognia. Dziś wykonał swoje zadanie. Była godzina dziewiąta rano. Mógł iść spać.

Tymczasem William ze swoim psem Cruzoe wyszli z alejki. Nagle Cruzoe zaczął piszczeć i ciągnąć swojego pana w boczną ścieżkę.

-Cruzoe! Uspokój się do licha. Ile jeszcze razy będę ciebie uczyć, że nie ciągnie... - William nie dokończył zdania

Usłyszał on rozmowy. Po głosie poznał swoich kolegów z pracy.

-Ktoś znowu zamarzył żywcem? Czy to miasteczko musi być tak przekłętą? - przewijały się mu myśli przez głowę

Skręcił w boczną uliczkę. Szedł wzdłuż torów kolejowych. W oddali zauważył kilka czarnych płaszczy, radiowóz i rój białych prześcieradeł, które zlewały mu się z bielą otoczenia. Kiedy podszedł bliżej dostrzegł, że to jego koledzy z komisariatu i grupa patologów.

-Cholera. Cruzoe... to znowu to. - złapał się za głowę i zaczął wrzeszczeć

Ktoś ciągle morduje niewinne kobiety, a on nie może tego zatrzymać. Nie wie jak. Pies polizał rękę pana. Zasmucił go ten widok. Kiedy nie chciał ruszyć dalej zaczął go ciągnąć za rękaw. William jakby wybudzony z jakiegoś transu otrząsnął się i ruszył w stronę zamieszania. Dotarł.

-Do cholery jasnej! Co tu się dzieje ludzie? Dlaczego tu jest taki bałagan? - krzyczał

Wszyscy momentalnie z wielkiego rozproszenia ustawili się w jedną małą grupkę. Trzeba przyznać jedną zaletę Williamowi. Jest niesamowicie dobrym koordynatorem. W mgnieniu oka ustawił do pionu dopiero co uczących się studentów.

-Kto was wysłał tutaj? - spytał uczniów

William nie otrzymał odpowiedzi.

-Spytam się jeszcze raz. Ostatni raz. Kto was wysłał na miejsce zbrodni? Dlaczego nie ma tu bardziej doświadczonych ludzi? - wściekł się i uderzył pięścią w dach radiowozu. Rozciął sobie trochę dłoń. Studenci byli przerażeni. Odewzała się tylko jedna dziewczyna.

-Powiedzieli nam, że to samobójstwo. Kobieta ponoć rzuciła się pod pociąg. - mówiła

-A ty co o tym myślisz? - spytał się młodej dziewczyny

-Nie jestem na tyle wykwalifikowaną osobą, żeby stwierdzić co jej się dokładnie stało, ale na pewno nie było to samobójstwo. Za dużo ran kłutych. I niech komisarz tylko spojrzy tutaj. - wskazała palcem na brzuch ofiary

Milczeli. William przyglądał się wszystkiemu.

-Wydaje mi się, że to rana postrzałowa. - dodała cicho

William spojrział na dziewczynę.

-Jak masz na imię? - spytał poważnie

-Lauren. - odpowiedziała spokojnie

-Dobrze Lauren. Może chociaż ty wiesz gdzie jest koroner? - spytał

-Nie dotarł przez zasy. Musimy sami określić czas i przyczynę zgonu. Myślę, że zgon nastąpił o poranku. Nie umarła w skutek hipotermii. Jej ciało nie było przypruszone śniegiem ani zamarźnięte. Trudno będzie się tu skupić jeśli przejeżdża tyle głośnych maszyn, a za mną hałasują żywe bałwany. - powiedziała wpatrując się w nadjeżdżający pociąg

Gdyby był to normalny dzień w pracy oboje by się uśmiechali. Teraz nikomu nie było do śmiechu. Każdy się bał. Zwłaszcza ona. Jako jedyna kobieta w miasteczku wiedziała, że morderca poluje na kobiety. Nie mogła temu nikomu powiedzieć. Morderca mógł być wszędzie. Mógł być każdym. Sprawy policji zostają w policji.

-Powiedz reszcie kolegów, żeby poszli do domów i nie niszczyli dowodów. I tak wystarczająco zdeptali śladów. - powiedział dosadnie

-Dobrze Panie Komisarzu. - wycofała się w tył i odesłała kolegów do domów

Sama zaś została na miejscu zbrodni. Badała tory. Szukała wszystkiego nietypowego.

William zaś skupił się na martwej kobiecie. Miała piękne brązowe loki aż do ramion. Miała piękny klasyczny hollywoodzki makijaż. Piękne długie rzęsy były posklejane od wody. Był to albo śnieg albo łzy. Czerwień jej ust kontrastowała z jasną cerą i śniegiem. Z twarzy była niezwykle podobna do Madeleine Carroll. Nic dziwnego. Każda kobieta chciała być tak piękna, odważna i dobra jak pierwsza aktorka z Wysp, która zrobiła karierę w Hollywood. Wracając jednak do ofiary. William miał pewne spostrzerzenia. Zapisał je w swoim notesie:

1) Ofiara ma włożoną w dłoń karteczkę z napisem "Liczyby rządzą światem" podobnie jak poprzednie ofiary.

2) Ofiara jest bardzo piękna, ma krucze włosy i ciemne oczy również podobnie jak inne ofiary.

3) Kobieta prawdopodobnie została "zwabiona" przez przystojnego mężczyznę. Ofiara prawdopodobnie pracowała w teatrze lub jakimś barze.

4) Morderca utożsamia się z Pitagorasem. Lubuje się w zabijaniu, sprawia mu to przyjemność. Wybiera niewinne dziewczyny, które nie zdołają mu uciec i się obronić. Chce coś osiągnąć?

5) Każda z ofiar знаła tą jedną osobę. Osoba ta była albo powodem zbrodni mordercy albo nim samym.

6) Nie wiem kim on jest, ale jest tchórzem i sadystą. Znajdę go prędzej czy później. Z pomocą i bez.

-Panie Komisarzu! Proszę tu! Prędko! Chyba coś znalazłam! - krzyczała Lauren

Dziewczyna lekko potrząsnęła znaleziskiem. Przejechała pędzelkiem aby odgarnąć śnieg.

-Co robi tutaj na bezludziu buteleczka z jakimś proszkiem? - snuła domysły

-To nie jest jakiś tam proszek, Lauren. To arszenik. - odparł

-Dawka śmiertelna? - spytała

-Nie. Toksyczna. Jest to mniej więcej od 10 do ok. 50 mg. Musiałoby być tu jej przynajmniej pięć razy tyle, żeby uśmierciła dorosłego człowieka. To niemożliwe, że to ją zabiło. Żadnych pozostałości po wymiocinach, czy kału spowodowanego gwałtowną biegunką. Zatrucie arszenikiem zajęłoby trochę czasu. Poza tym morderca dawkowałby truciznę. Nie uważasz, że byłoby to rozsądniejsze? - spytał Lauren

-Zrobię badanie na obecność arszeniku w jej organizmie. Co do pytania to tak. Byłoby to bardziej rozsądne. Nie wykrylibyśmy wtedy nic. Przypominam jednak, że zrobił już tyle nie rozsądnych rzeczy, że może się posunąć do wszystkiego. Tak myślę. Komisarzu, ja jednak obawiam się bardziej tego. - wskazała na etykietę

-I co w związku z tym? Mogę to obejrzeć? - poprosił

William chwycił za buteleczkę. Przejechał rękawiczką po etykiecie. Zauważył, że się odkleja. Chwycił za róg i jakby wachając się nie oderwał jej. Spojrzał na Lauren, a ona pokiwała głową na znak potwierdzenia, że właśnie o to jej chodziło. William odkleił papierek. Spojrzał na ten drugi pod spodem.

-Jakiś numer dostępu? Ale dlaczego są tu pierwiatki. I te log? Co to oznacza. Nie rozumiem zupełnie. - mówiła Lauren

-To nie jest ani numer dostępu, ani data wydania substancji. To działanie wymyślone przez morderce. Są tu pierwiastki i logarytmy. Bawi się. - mówił

-O rany. - przejęła się

-Co to może być? Jego data urodzenia? Imię następnej ofiary? - pytał dociekliwie po długiej chwili milczenia

-Nie jestem pewien. Muszę to sobie zapisać. Schowasz to szczelnie? - spytał

-Oczywiście Panie Komisarzu. - odeszła

William w tym czasie zanotował kolejną rzecz:

$$\sqrt{0}\sqrt{1}. \sqrt{144}. \sqrt{1}\sqrt{81} \log_2 8 \sqrt{81}; \sqrt{0}\sqrt{1}. \sqrt{1} \log_{10} 100. \sqrt{1}\sqrt{81}\sqrt{16}\sqrt{16}; \sqrt{0} \\ (\log_3 9)^{\sqrt{9}}. \sqrt{144}. \sqrt{1}\sqrt{81} (9^{\log_3 7}) - (\log_2 4 + \log_2 8)$$

Spojrzał na zapis. Złapał się za głowę. Nigdy nie był dobry z matematyki. Nienawidził jej. Całe dotychczasowe życie myślał, że mu się nieprzyda.

-A więc się myliłem. Matematyka to jednak królowa nauk. Jasny gwint! A więc trak będzie wyglądało moje piątkowe popołudnie. Psiakrew! - denerwował się

Randka z matematyką rodziła w nim spore uczucia. Same negatywne, ale wkrótce się to zmieni. Przekona się, że na matematyczny atak można odpowiedzieć jeszcze większym matematycznym kontratakiem.

-Cruzoe! Do nogi! - krzyknął

Cruzoe nadbiegł w mgnieniu oka. Psina i jego Pan szli w kierunku komisariatu. Trzeba było zwizualizować mapę myśli, zebrać dowody w całość i rozwiązać ten zagmatwany szyfr. Jednak William nie tego obawiał się najbardziej. Nie wiedział co może oznaczać wynik. Bał się rezultatu. A jeśli będzie niezadawalający? Co jeśli on chce zyskać na czasie?

Hamburg 10 grudnia 1944

Pani Laber siedziała w luksusowym przedziale w pociągu. Tuż obok niej był Pan Laber. Trzymali się za ręce. Rozmawiali po niemiecku, podobnie jak reszta. Warto tu opisać ich sylwetki. Otóż Helga Laber to piękna Niemka z krótkimi, kręconymi blond włosami. Jest szczupła. Znadto szczupła. Oczy ma oczywiście niebieskie. O innych zresztą nie ma mowy. Zarzucone ma na sobie grube futro koloru beżowego. Spod futra wylewa się plisowana czerwona spódnica. Do tego miała założone czarne czółenka. Hans Laber to mężczyzna o bardzo jasnej karnacji. Ma niebieskie, duże oczy i blond włosy. Z twarzy bardzo zadbany, ogolony. Ubrany w hitlerowski mundur. Do krwawej pary podszedła kelnerka.

-Heil Hitler! - przywitała się

-Heil Hitler! - odpowiedzieli zgodnie

Co za dobrana para! I te samo hooby – zabijanie! Jak wspaniale...

-W czym mogę służyć? Może wina? A Panu? Może Jägermeister? - dopytywała z uśmiechem na twarzy

-Nie dziękuję.- odpowiedziała Helga

-A Szanowny Pan? - spytała

-Ja także.. - chciał dokończyć, ale żona szturchnęła go ramienniem

Dla innych nie było to wcale zauważalne, ale ja widzę wszystko. Już taka moja rola wiedzieć o wszystkim i słyszeć nawet okropne wrzaski.

-Tak poproszę. - odpowiedział pośpiesznie

-Dobrze. - napelniła cały kieliszek

- Miłej podróży.-dodała

-Jestem podekscytowana Hamburgiem. Ciekawe czy coś się zmieniło. Może będzie tak jak dawniej. - mówiła

-Ja również nie mogę się doczekać. Helgo pozwól, że cię opuszczę i dołączę do grona naszych uprzejmych przyjaciół. Widzisz? Stoją tam brzy barze. - wskazał palcem

-Dobrze kochany. A! Hans! Poczekaj! Mogę tą książkę? - spytała

-Masz na myśli to? - wyciągnął książkę autorstwa Adolfa Hitlera

-Tak. - uśmiechnęła się do niego

-Proszę Helgo. Czytaj dokładnie. Nie pomiń niczego. Uważaj na siebie. Bądź ciągle w tym przedziale. Dobrze? - ucałował żonę

-Dobrze. - odpowiedziała

Do Helgi dosiadła się kobieta.

-Heil Hitler! - przywitała się radośnie

-Heil Hitler. - odpowiedziała Helga

-Helga, kupę lat cię nie widziałam? Opowiadaj co u ciebie? Co czytasz? O "Mein Kampf"! Doskonale. - mówiła

-Och. Wybacz. Długo mnie tu nie było.. Jak masz...? - zapytała niewinnie uśmiechając się do niej

-Helga! Głuptaku! To ja Ursula. - mówiła podekscytowana

-Ach! No tak. Nie poznałam ciebie. Zmieniłaś fryzurę, prawda? - przymrużyła oczy pytając
Ja wiedziałam, że strzelała. Ursula się nie zorientowała.

-Zauważyłaś! - krzyknęła na cały przedział

Pasażerowie spojrzeli na nią, a ta ucichła.

-Dobrze ciebie widzieć Ursulo. - powiedziała po cichu i się zaśmiała

-Ile jedzenia! Ten twój Hans to musi być bogaty. - patrzyła na stół oblizując się

-Częstuj się. - podsunęła jej tace z karpatką

-Ale ty? Tak..? E...? Od kiedy jesteś taka hojna? - zaśmiała się

Helga się speszyła. Nie spodziewała się tego.

-No żryj jak mówię. - odpowiedziała stanowczo

-No i to jest Helga. Słodki głosik do ciebie nie pasuje żmijo. - mówiła

Helga przełknęła ślinę. Ursula pochłapliwie połykała ciasto.

-Świnia. - odpowiedziała

Ursula ją uścisnęła i poczochnęła po włosach.

-Pamiętasz jak się biłyśmy? Ile to już lat? - pytała

-Nie wiem. Byłaś jeszcze wtedy piękna i nie pomarszczona jak buldog francuski... Ale pamiętam to jak dzisiaj. - mówiła

-No jasne, że pamiętasz. Spuściłam ci taki łomot, że przez kilka dni byłaś nieprzytomna. Zabrałaś mi chłopaka. - mówiła nadzwyczaj spokojnie

Helga czuła do niej wstręt. Była kłamliwa i podejrzliwa. No, ale była jej dawną przyjaciółką. To ją zobowiązywało.

-Po za tym wcale się nie zestarzałam. A co z Żydkami? - pytała pogardliwie

-Co masz na myśli? - spytała

-No przecież wiesz. Ilu już zabiliście? - śmiała się

Helga myślała, że tego nie wytrzyma.

-Nie twoja sprawa. - śmiała się

-I tak mojego rekordu nie pobijesz. Zakapowałam na dziesięciu i kazałam pobić pięciu. Poza tym mam jednego sługę w moim drugim domu w Hamburgu. Mały gnojek. Nie powiem żwawy jest. Od trzech dni go nie karmiłam, a się trzyma. - śmiała się

Helga musiała coś odpowiedzieć, choć wcale nie miała na to ochoty.

-Tak. Racja. Te szczury utrzymują się przy życiu bardzo długo. Aż się dziwie, że chcą żyć. Ciekawe zjawisko. Ta wola przeżycia, walki mimo iż są na przegranej pozycji. - mówiła Helga

-Hahah. - śmiały się

Helga powstała i skierowała rękę ku górze.

-Führer górą! Górą! Górą! - krzykczała w niebogłosy Helga

Reszta pasażerów powstała w ułamku sekundy.

- Führer górą! Górą! Adolf wyzwolicielem! Adolf stwórcy! - krzyczeli wszyscy w przedziale

Helga spojrzała ukosem na swojego męża. Hans mrugnął do niej okiem i pokiwał głową na znak zadowolenia. Był dumny z żony. Robiła to co do niej należy.

Jest wrakiem człowieka. Właściwie to nie jest już nawet człowiekiem. Płakała w duszy. Musiała. Musiała. Mąż tak jej kazał. On musi być z niej dumny. Ona ma obowiązek kochania Hitlera. Bez tej miłości będzie nikiem. Helga spojrzała na napis na szybie.

“JUDEN EINTRITT ZUM ZUG VERBOTEN”

“ŻYDOM WSTĘP DO POCIĄGU ZABRONIONY”

Helga musiała wyjść do toalety. Przeprosiła Ursulę i wyszła zwymiotować wstręt. Chciała się pozbyć tych słów, które wyszły z jej ust. Ręce się jej trzęsły. Obmyła twarz zimną wodą. Płakała bezgłośnie. Tak cicho, tak niemo jakby jej nie było. W jej głowie przewijało się tysiące wrzasków, ale też cichutkich głosów, które prosiły, żeby przestała. Chwyciła za szminkę. Poprawiła kontur ust czerwoną pomadką. Otarła łzy. Wyprostowała się i uśmiechnęła. Wszystko było w porządku. Nic się nie stało. To pewnie przez podróż jest taka rozstrzęsiona. Poprawiła loki. Wyszła z łazienki i skierowała się do Ursuli. Szła ponętym kocim krokiem. Lekko i powabnie. Mężczyźni spoglądali na nią, a ona odwzajemniała uśmiech. Wszystko było okej.

Tymczasem Hans skierował się do baru oddalonego kilka metrów. Był to mały bar, ale bogato wyposażony. Najdroższe alkohole, cygara i jego przyjaciele. To wszystko na niego czekało. Cekał również wiwat wśród towarzyszy przyszłej popijawy. Wszystko się układało jak należy. Jeszcze kilka godzin i będą w domu.

Godziny były wiecznością. Tak odczuwała to Helga. W końcu wysiedli na peronie. Ich sługa wziął bagaże. Nie szli zbyt długo. Mieszkali w centrum. W jednej z największych posiadłości. Helga podziwiała Hamburg.

-Jak tu się zmieniło... - mówiła

Hans chwycił jej dłoń jakby próbując pokrzepić w niej ducha.

-Uśmiechnij się kochanie. Jesteśmy w domu. W Hamburgu. - mówił

-W domu. - dodała ze łzami w oczach

Weszli do posiadłości i zaczęli się rozglądać na wszystkie strony.

-Będzie dobrze. - Hans przytulił Helgę

-Tęskniłam za tym miejscem. - powiedziała cichutko

-Wiem, Helgo. Bądź dobrej myśli. - głaskał ją po głowie

Anglia 14 grudnia 1944

William siedział na ławeczce w kościele. Tuż obok niego był pastor.

-Coś może wiadomo o Sophie? Odzywała się? Może Pani Hedwig coś wie? One chyba się znały. Zresztą Pani Hedwig wie o wszystkim. - zaśmiał się William mając nadzieję, że dostanie pożądaną odpowiedź

-Niestety Williamie nic o niej nie wiemy. Pani Hedwig również. - odpowiedział ponuro

-Minął już ponad tydzień. Dałaby jakiś znak. Boję się o nią. - mówił William

-Też tak się bałem o moją żonę kiedy była chora, ale pamiętaj, że zawsze jest nadzieja. - mówił spokojnie

-Wierzysz w przeznaczenie? - zapytał się William

-Wierzę, że jeśli dwie dusze są ze sobą związane nierozzerwalną więzią - więzią miłości - to nic ich nie rozdzieli. Nawet wojna, rozstanie. - mówił

-Nawet śmierć? - zapytał ze łzami w oczach

-Nawet śmierć. Myślę jednak, że jesteście stworzeni do czegoś szczęśliwszego. Daj jej i sobie czas przede wszystkim. - mówił

-Kiedy ja bez niej nie mogę żyć. Wpatrywałem się w nią kilka lat zanim odważyłem się z nią porozmawiać. Nigdy nie miałem tak z żadną kobietą. Nie wiem co się stało. - mówił załamany

-Myślę, że ona czuje do ciebie to samo. - powiedział i wyszedł ze świątyni

William wbił wzrok w podłogę.

-Czuje to samo? - myślał

Nagle wyrwał się z osłupienia. Wybiegł w ślad za pastorem, ale on znikł. Rozmył się i pozostał tylko grudniowy chłód. William usiadł na ławeczce w parku. Wyjął notes i wszystko stało się jasne. Zapisał wynik działania wymyślonego przez tego zwyrodnialca.

$$\sqrt{0}\sqrt{1}. \sqrt{144}. \sqrt{1}\sqrt{81} \log_2 8 \sqrt{81}; \sqrt{0}\sqrt{1}. \sqrt{1} \log_{10} 100. \sqrt{1}\sqrt{81}\sqrt{16}\sqrt{16}; \sqrt{0} \\ (\log_3 9)^{\sqrt{9}}. \sqrt{144}. \sqrt{1}\sqrt{81} (9^{\log_3 7}) - (\log_2 4 + \log_2 8)$$

01.12.1939 ; 01.12.1944 ; 08.12.1944

To były jakieś daty. William rozszyfrował je. Każda data oznaczała dane morderstwo. Pierwsze na Pani Evans, drugie na Janet, a trzecie na niewiadomej imienia i tożsamości kobiecie. Ale jaka była między nimi zależność? O co mu chodziło? Zauważył, że rok zmienił się tylko raz i to o pięć lat. Z kolei od drugiego do trzeciego morderstwa minęło siedem dni. William skupił wzrok na jeziorze.

-Pięć i siedem? - myślał drapiąc się po małym wąsiku

Nagle otworzył szeroko oczy i buzię. Zrozumiał przekaz. Tak myślał. Spojrzał na datę, Był 14 grudnia. Ostatnie zabójstwo miało miejsce 8 grudnia.

-Osiem plus siedem i pięć to..? - obliczał

-20 grudnia. - dodał po chwili

-A więc do kolejnego ataku zostało sześć dni. Psiakrew on naprawdę chce zabić przed świętami Bożego Narodzenia? Co za bydle. Nie tym razem. - mówił William z wyczuwalną nadzieją w głosie

William postanowił odpowiedzieć własną bronią mordercy. Wykorzysta matematykę, a dokładnie zbiory.

Anglia 20 grudnia 1944

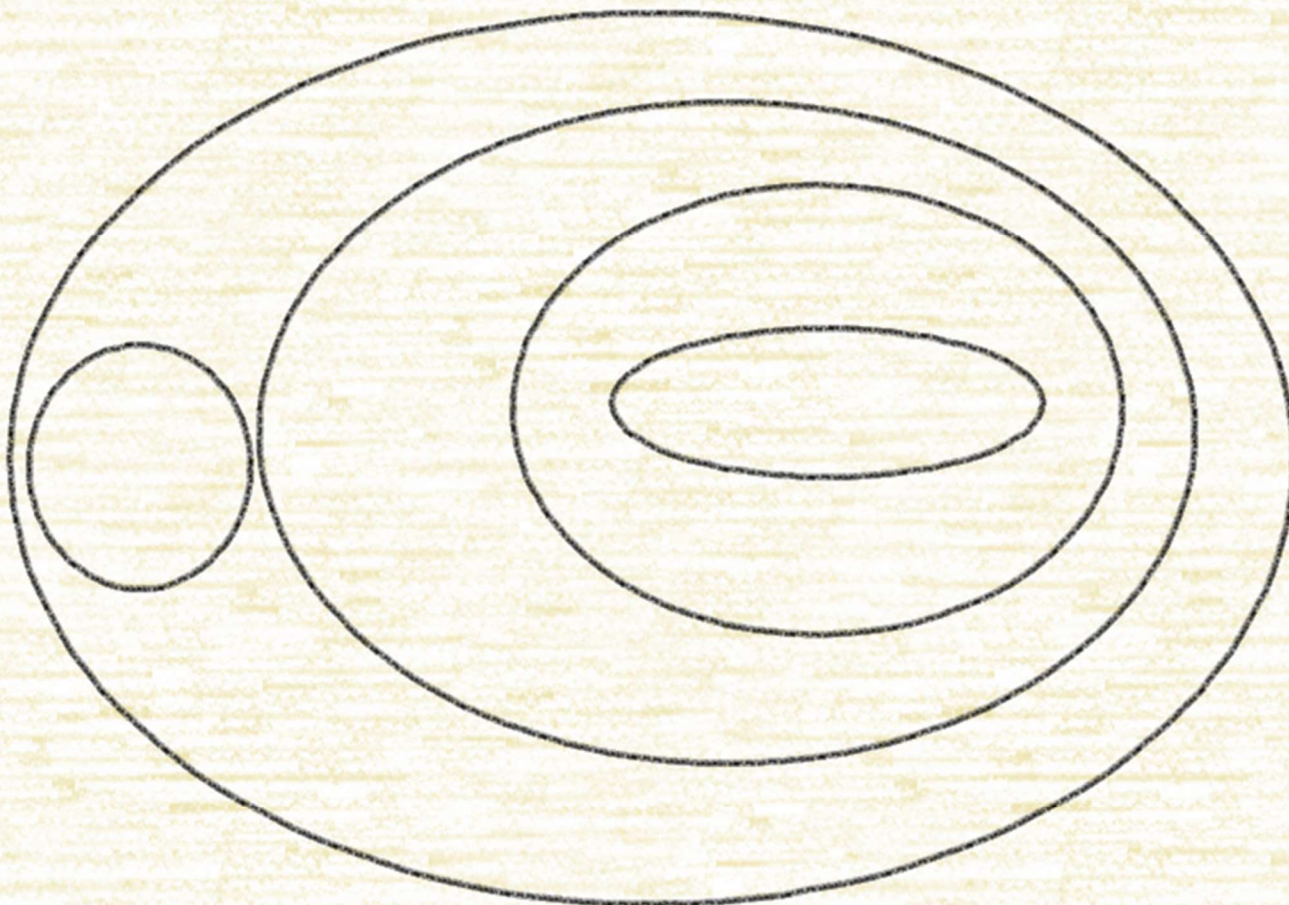
Wszyscy na komisariacie byli postawieni do pionu.

-To jest mapa naszego mastedzka. Jesteście dopisani do miejsca gdzie będziecie czuwać i tropić szuje. Zrozumiano?! - spytał William nie oczekując jednak odpowiedzi

William naszkicował pomocniczą mapkę w swoim notesie.

$\sqrt{0}\sqrt{1}. \sqrt{144}. \sqrt{1}\sqrt{81} \log_2 8 \sqrt{81}; \sqrt{0}\sqrt{1}. \sqrt{1} \log_{10} 100. \sqrt{1}\sqrt{81}\sqrt{16}\sqrt{16}; \sqrt{0}$
 $(\log_3 9)^{\sqrt{9}}. \sqrt{144}. \sqrt{1}\sqrt{81} (9^{\log_3 7}) - (\log_2 4 + \log_2 8)$

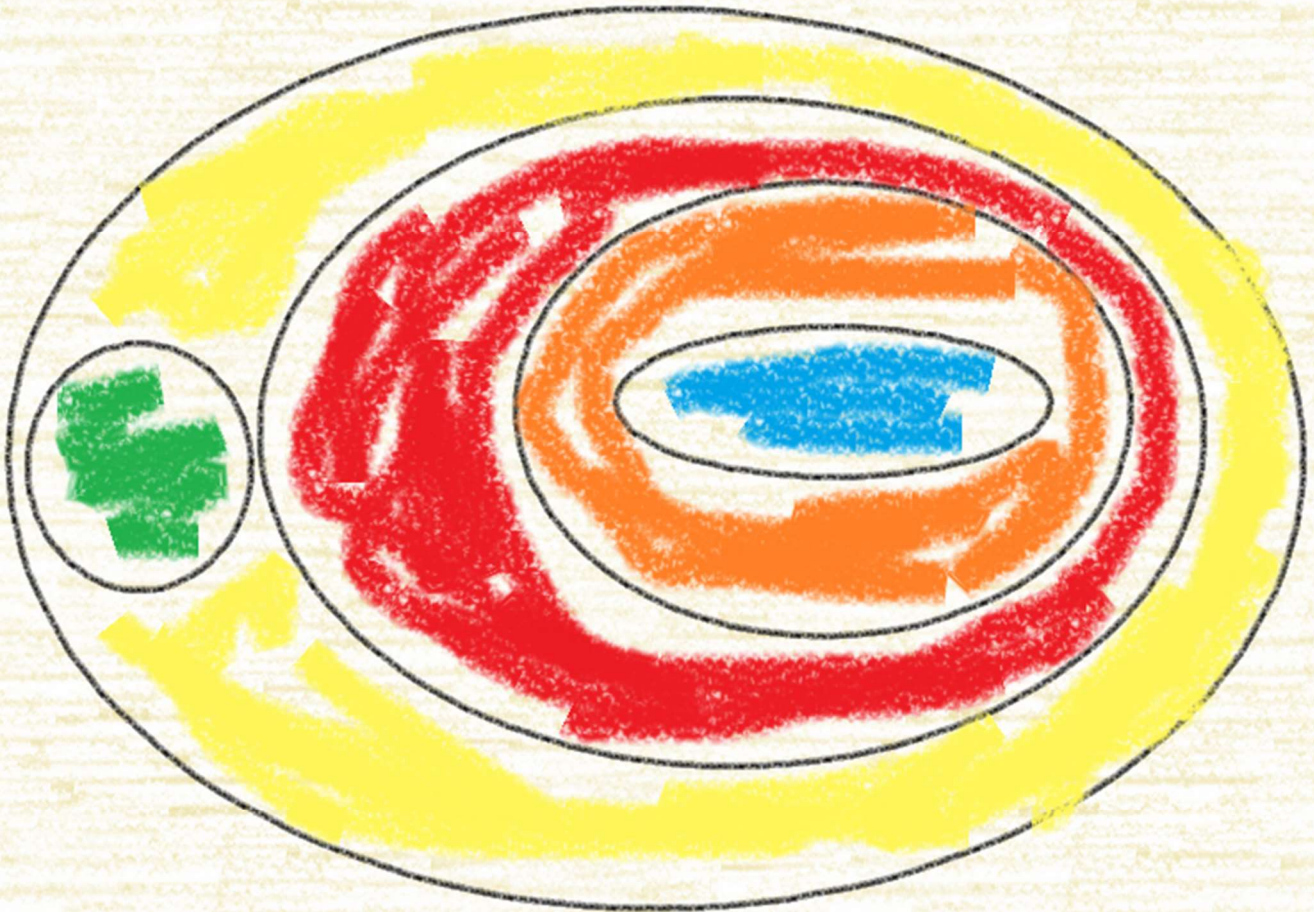
01.12.1939 ; 01.12.1944 ; 08.12.1944



Dodał jeszcze trochę koloru i ponownie omówił ją ze współpracownikami.

$\sqrt{0}\sqrt{1}$. $\sqrt{144}$. $\sqrt{1}\sqrt{81}$ $\log_2 8$ $\sqrt{81}$; $\sqrt{0}\sqrt{1}$. $\sqrt{1}$ $\log_{10} 100$. $\sqrt{1}\sqrt{81}$ $\sqrt{16}\sqrt{16}$; $\sqrt{0}$
 $(\log_3 9)^{\sqrt{9}}$. $\sqrt{144}$. $\sqrt{1}\sqrt{81}$ $(9^{\log_3 7}) - (\log_2 4 + \log_2 8)$

01.12.1939 ; 01.12.1944 ; 08.12.1944



- Słuchajcie mnie wszyscy! - krzyknął i wszyscy ucichli
- A więc... - mówił, ale ktoś mu przerwał
- Ale szefie my to już przerabiamy cały tydzień. - powiedział oburzony
- Słuchaj nicponiu. Jeśli go nie złapiemy zabije kolejnego człowieka. Chcesz tego? - złapał go za garnitur i przykleił jak muchę do ściany
- Chcesz tego? - spytał się jeszcze raz poluzowując uścisk dłoni
- Nie szefie. Nie chcę. - dał mu kontynuować
- Wybacz... - przeprosił
- Harry ja nie chciałem. Po prostu to nasza szansa. - dodał William

-Tak wiem. Nie gniewam się, Też świruję. - zaśmiał się i poklepał go po ramieniu

Wszyscy milczeli. Atmosfera była napięta.

-Kontynuuj. - namawiał Harry

-A więc ja z Lauren i dziesięcioma policjantami bez mundurów będziemy stacjonowali na niebieskim obszarze. Skupiamy się tylko na tym obszarze, choć należymy do całości zespołu. Zrozumiano? - spytał stanowczo

-Tak! - odpowiedzieli zgraną grupą

-Będziemy w tym obszarze, ponieważ najbardziej jesteśmy wtajemniczeni w sprawę. Teraz koło pomarańczowe. Będzie tam stacjonował Harry z dwudziestoma jednostkami. W czerwonym polu będzie trzydziestu umundurowanych. Będziecie sprawdzać, czy wszystko jest w porządku. Miejcie się na baczności i wsłuchujcie się w każdy dźwięk. Ludzie na was liczą. Zbiór zielony to ochrona. Będzie ona czuwać tuż przy wyjeździe z miasteczka. Morderca musiałby umieć latać, żeby przedostać się przez te zasy. Mógł jednak się przyszykować i być może znalazł inne wyjście w razie koniecznej ucieczki. Ludzie w zielonym słuchajcie! - krzyczał

-Słuchamy! - krzyknęli przebudzając się ze snu zimowego

-Nie interesujecie się obszarem zaznaczonym na czerwono, pomarańczowo i niebiesko. Nie jesteście tam przydzieleni. Zrozumiano?! - pytał

-Zrozumiano! - odkrzyknęli chórkami

-Żółty obszar. Wy interesujecie się wszystkim. Po prostu pilnujcie, żeby nikogo dziś w nocy nie zabili? Dobrze?! - mówiła

-Dobrze Panie Komisarzu. - krzyknęli

-No a teraz idźcie do domów i się wyśpijcie. Jak wstaniecie zróbcie sobie kawę albo wypijcie coś innego mocniejszego. Może być nawet wódka. Tylko bądźcie przytomni. To będzie długa noc. Niebezpieczna noc. - dodał

Pracownicy z komisariatu się rozeszli. Miejsce opustoszało. Lauren i Harry zostali.

-Williamie idziesz z nami do pubu? - pytali

-Nie. - odpowiedział

-Musiś odpocząć. Ciągłe siedzisz przy tym biurku. Zrelaksuj się chociaż przed grubą akcją.
- przekonywał go Harry

-Sklep Evansów został kupiony przez niejakiego Charlesa Smitha. - dodała Lauren

-Irlandczyk? - spytał William

-Tak. - odparła

-Tutaj? Jak się tu dostał? Od kiedy tu jest? - pytał

-Och! Williamie nie do każdego musisz nabierać podejrzeń. Mieszka tu od kilku miesięcy. Ponoć szuka swojej starej przyjaciółki z czasów szkolnych. - przekonywała

-Hmm..- myślał William

-No nie daj się prosić! - wskazał głową na stary pub Evansów

-Dobra idę. Będę tam za godzinę. - mówił

-No i świetnie! Porozmawiasz z kimś. Nie sądzisz, chyba że milczenie do psa i papierów jest rozwijające. - śmiał się Harry

-Zabieram psa ze sobą! - zaprotestował William

-Dobrze, dobrze. Lauren jest kociarą. Już przywykłem. - powiedział

Lauren spojrzała na niego wścibsko.

-Koty przynajmniej są przyjemne w dotyku i nie narzekają na moją zupę. - śmiała się

-Może moja broda nie jest przyjemna w dotyku, ale zupa jest ohydna. Cały tydzień jeść to samo. Idzie wymiotować. - mówił

-Nie narzekaj. Żyjesz. Dużo ludzi zostało rozstrzelanych albo ich ciała rozerwały się na kawałki, bo weszli na bombę. A ty narzekasz na zupę. - mówiła smutno

-Wiem. Jestem gówniarzem. Przepraszam. Ale i tak mnie kochasz? - spytał i próbował ją pocałować w policzek

Lauren się uśmieła. Umiał ją pocieszyć. Harry był dobrym człowiekiem. Wszystko traktował z dystansem. Był optymistą. Uważał, że życie to gówno - ma swoje plusy i minusy. Powtarzał każdego ranka, że lepiej, żeby było, bo w przeciwnym wypadku będzie boleśnie. Szkoda, że rozerwał go niewybuch kilka miesięcy później. Lauren bardzo często wspominała jego słowa i mówiła, że faktycznie, choć życie jest gównem, to bez niego jest pozostaje tylko nicość i rozpacz. Każde wstawanie, każde zasypianie jest bolesne.

Wróćmy jednak do czasów, kiedy Harry jeszcze był w całości. Wybaczcie to sformułowanie. On jednak cieszyłby się, że tak to określiłam. A więc kiedy Harry był jeszcze w całości trzeba było dokonać niemożliwego. Złapać jednego człowieka spośród tysiąca. Przenieśmy się do pijalni nowego właściciela - Smitha. Jest południe i za kilka godzin będzie miała tu miejsce kolejna tragedia. William jeszcze o tym nie wie. Wie tylko jedna osoba w barze. On.

-Dzień dobry Państwa! - przywitał się Charles Smith

-Witamy w miasteczku. - powiedziała Lauren

-Zapraszam. Zapraszam. - wskazał ręką zachęcając do wejścia

-Od ilu dni jest Pan w miasteczku? - spytał Harry

-O już od kilku tygodni. - mówił pogodnie

-Naprawdę? Nie zauważyłem Pana. Dobrze się tu Panu żyje? - pytał

-Oj tak. Bardzo dobrze. Ten bar naprawdę jest zadbane. Zawsze o takim marzyłem. Poza tym to piękne miasteczko. Ludzie nawet w biedzie się wspierają. - mówił

Do mężczyzny podeszła dziewczynka o kruczonych włosach.

-Tatusiu! Tatusiu! Spójrz! Narysowałam nas! - krzyczała szczęśliwa dziewczyna

Podbiegła do Lauren. I usiadła jej niespodziewanie na kolana.

-Sarah. Chodź proszę. Mówiłem jej, że nie wolno być tak natarczywym i otwartym. Zwłaszcza teraz gdy grasuje ten morderca. Boże jakby on ją skrzywdził. Zabiłbym go gołymi rękoma. Jak sobie z nim radzicie? Złapiecie go? - pytał przerażony

-Miejmy nadzieję, że tak. - powiedział Harry

-Oby. Niech spędzi za kratami resztę życia. - mówił jak najęty

-Mamy nadzieję, że to miejsce odżyje. Kiedyś śpiewała i grała tu pewna dziewczyna, ale słuch o niej zaginął. Straciła rodziców w bardzo młodym wieku. Policji nic nie było o tym wiadomo. Tak mi mówił mój ojciec. - mówił smutno Harry

Lauren uderzyła go w brzuch. Była wściekła za ten jego niewykrzesany język. Lauren poszła oglądać wystrój mając nadzieję, że Harry zamknie w końcu tą jadaczkę.

-O boże przerażające. Niech Pan dokończy historię. - mówił

-Ja nie wiem czy mogę... - wahał się

-Przecież ja jej nawet nie znam, więc nikomu o tym nie powiem. Obiecuję. Jestem ciekawy czy kiedyś zaznała szczęścia. To takie smutne. - mówił

-Kiedy straciła rodziców była w dosyć młodym wieku. Policja dowiedziała się o ich śmierci dopiero 5 lat później. Uwierzy Pan? Ponoć oboje zachorowali na gruźlicę, a dziewczyna nie chciała, aby ktoś się o tym dowiedział. Zapewne wysłaliby ją do sierocińca. Już tam była... Nie chciała przeżywać tego drugi raz. Sama pochowała rodziców. To musiał być ogromny ból. Wszystkim tłumaczyła, że ojciec pojechał gdzieś na front, a matka pojechała chyba do Francji w celu odszukania go. Dziewczyna była chora psychicznie. O dziwo poradziła sobie ze wszystkim sama. Całe życie sama... - mówił

-Ale jak zarabiała? - pytał

-Kradła. Dołączyła się do bandy, która okradała gospodarstwa. Czasem dostawała kilka jabłek albo ziemniaki i cebulę. Była bardzo wychudzona. Ale kto nie był? To były czasy po pierwszej wojnie światowej. - mówił

-Miała jakiś przyjaciół? Nie mogła być przecież zupełnie sama. - zamartwiał się

-Z tego co wiem to tak. Do bandy należała Janet i Andrew. - mówił

-Syn Pana Evansa? A ta Janet? Dalej się przyjaźnią? Może ona coś o niej wie. Nie można tego tak zostawić. A jeśli porwał ją ten morderca? - pytał zaciekle

-Tak, to syn Pana Evansa. Janet została okrutnie zamordowana przez sam Pan wie kogo. - mówił z obrzydzeniem

-Niech nad nią czuwają archanioły. Biedactwo. - powiedział ze smutkiem

-No widzi Pan tylko Pana zasmuciłem, a powinien się Pan dziś cieszyć. Otwarcie się zbliża! Bar wygląda świetnie. O nadchodzi William. Jest najlepszym komisarzem w tym miasteczku. - mówił Harry

-Przywitał go najlepiej jak tylko mogę. - zaśmiał się

William podszedł do Smitha i się przywitał. Oboje patrzyli sobie głęboko w oczy. Charles zobaczył w nim nieżyjącego syna. Z kolei William zobaczył coś niepokojącego. Nie wiedział co jest z nim nie tak. Po prostu go nie zrozumiał. Nie musiał nawet nic powiedzieć. Ich obojga przeszedł zimny wiatr.

-Nie stójcie tak w przeciagu! - krzyknęła Lauren

William podał dłoń Smithowi. On również wyciągnął swoją na powitanie. Długo machali tak sobie rękoma, próbując zrozumieć swoją relację. Czuli się źle w swoim towarzystwie, więc szybko się rozplłoszyli po sali. Jeden za bar, drugi do kąta.

William pociągnął delikatnie za ramię Harrego.

-Chodź ze mną. - szepnął

Oddalili się.

-Słuchaj... Muszę ci coś powiedzieć. - mówił cicho

-Williamie, jeśli chcesz mnie podrywać w ten sposób to chociaż kwiatka mogłeś mi dać. - zaczął się śmiać

William dyskretnie nadepnął na jego palce. W barze było mnóstwo ludzi. Gwar i zgrzyt był w każdym metrze kwadratowym tego małego baru.

-Mamy tu mordercę. - szepnął William

-Żartujesz prawda? Nie jesteśmy przyszykowani. Mam wezwać posiłki? - spytał

-Jeszcze nie. Poczekajmy do wieczora. - mówił spokojnie

-Kim on jest? - spytał

-To Smith. Jestem tego pewien. - powiedział William

-Chyba żartujesz? On ma córkę. - zaprotestował

-I co z tego? - spytał William

-I myślę, że nie zaatakowałby żadnej kobiety... - chciał dokończyć, ale William mu przerwał

-Morderca też ma matkę, a jakoś atakuje. Zresztą to może być nawet kobieta. Powiązania rodzinne nie mają z tym nic wspólnego. - stwierdził

-Jeśli tak mówisz... - powiedział Harry

-Cruzoe! Do nogi psie. - zawołał William

Cruzo przybiegł do Pana i usiadł obok niego.

-Daj mu coś do wywęszenia. Coś mordercy. - nasunął pomysł

-Myślisz, że już nie próbowałem? On wszystko przemyślał. Nawet zapach zlikwidował.

-Psiakrew... - Harry przeklinał go

-Gdzie Lauren? - spytał się William

-Tu jestem. - wychyliła się zza rogu

-Słyszałaś? - spytali

-Oczywiście. Muszę was durnie pilnować. W przeciwnym wypadku morderca już dawno by się tu zakradł. Następnym razem rozglądajcie się dookoła. - syknęła

-To co czekamy? - spytał Harry

-A co mamy innego do roboty studenciaku? - odpowiedziała opryskliwie, ale po chwili zaśmiała się

-Czemu się śmiejesz? - spytał

-Bo stoicie pod ścianą i się nie śmiejecie, nie bawicie. Stoicie jak kołki. Nawet ja zaczęłam budzić podejrzenia, a co dopiero on i inni ludzie. Bawcie się. To takie proste. - zaciągnęła do tańca Harrego.

William usiadł przy barze. Tuż przy Charlesie.

-Co podać? - spytał

-Poproszę jedno cygaro i trochę wody. -odpowiedział

-Dobrze. - odpowiedział niepewnie

Nagle rozległ się hałas. Jakaś kobieta zaczęła wrzeszczeć. Wbiegła zapłakana do baru. Szła z nożem w udzie i wołała o pomoc. Każdy się od niej odsuwał. Z wyjątkiem Williama. Podbiegł on do kobiety i spytał co się stało. Kto ją zaatakował.

-Tam był taki mężczyzna... i on.. - jąkała się

-Gdzie? - dopytywał się szaleńczo

-Tam. - wskazała palcem na tylne wyjście z baru.

Wciąż krwawiła. Jej cała sukienka była pokrwawiona. Biała sukienka w groszki nabrała nowego krwistego koloru.

-Harry! Lauren! Szybko! Zaatakował na tylnym wyjściu! - krzyczał William

Lauren i Harry natychmiastowo wybiegli z baru w pościg za mordercą. Kobieta traciła dużo krwi.

-Powiedz mi jak masz na imię. - podparł kobietę na swoim ramieniu

-Jestem Agatha. Strasznie boli. - mówiła powoli

Kobieta zemdlała. Ludzie wybiegli z baru. Jak zwierzyzna zaczęli uciekać przed drapieżnikiem. Z każdej strony słychać było wrzaski, płacz i wołanie o pomoc. William już nie wiedział czy to morderca atakuje, czy może ludzie depczą po plecach słabszych.

-Gdzie jest moja córka! Gdzie moja córka do cholery! Sarah gdzie jesteś!? - krzyczał w oszalałym gniewie najgłośniejszemu z tłumu

William słyszał to. Zaczął szukać córki Pana Smitha.

-Williamie on uciekł. - wbiegł zdyszany Harry

-Biegnij do budki telefonicznej. Niech przyjadą wszyscy. Pogotowie, nasi z posterunku i nawet media niech przyjadą. Niech cały kraj się dowie o tym ścierwie. Kanalia pożałuje, że z nami się bawi. - powiedział ze wstrętem

Lauren także wbiegła do baru i zaczęła tamować krwotok z omdlałej kobiety.

-Cholera William. Ostrze przebiło tętnicę udową. Ona tak długo nie wytrzyma. Pomóż mi do cholery! - krzyczała

William nadbiegł jej pomóc. Kiedy krzyki ucichły można było zobaczyć poległych bądź rannych na "polu bitwy". W skład okaleczonych wchodziły dwie osoby.

1)Córka Charlesa Smitha

-dźgnięta dwa razy nożem

-staranowana przez ludzi

-stan: denatka

2)Kobieta N.N.

-dźgnięta w udo, ostrze przebiło tętnicę udową, silny krwotok

-Stan: omdlała, wykrwawia się, bliska śmierci

Charles Smith trzymał swoje dziecko w objęciach. William czuł się winnym. Gdyby tylko rozkazał wezwać swoich ludzi. Może by zdążyli na czas? Jakże wściekły był na siebie. Niestety każdy uświadomił sobie coś ważnego. Coś okropnego.

“CZASU NIE MOŻNA COFNAĆ.”

Usiadł na krześle i zaczął płakać. Morderca w tym momencie wywołał wojnę. Wojnę rodzicom dzieci, bezbronnym kobietom i policji. Wywołał wojnę całej Wyspie. Harry uciskał krwotok. Lauren chciała podejść do dziewczynki, ale jej ojciec trzymał ją z zaparcie w objęciach.

Pogotowie wkrótce przyjechało. Zabrało kobietę. Przyjechała także policja. Zbadano miejsce zbrodni.

Wiecie co jest najśmieszniejszego i najbardziej wpieniającego w tym całym zajściu?

MORDERCA WCIAŻ BYŁ NA MIEJSCU ZBRODNI.

Wpatrywał się w ofiary i był dumny ze swoich dokonań. Nikt o tym nie wiedział poza nim samym. Był dobry w tym wszystkim. Poczł się bogiem. Był niezwykczony. Był mordercą. Od teraz seryjnym mordercą. Właśnie tego pragnął. Nie zamierzał przestać. Załaknął się krwi. Teraz chce czegoś większego.

William wciąż siedział załamany na krześle.

-Williamie? - Lauren dotknęła jego ramienia

-Zostaw mnie. Ja nie jestem człowiekiem. On jest silniejszy. Ta dziewczynka zginęła przeze mnie. - mówił zrozpaczony

-Williamie nasi by nie zdążyli tu przyjsć w kilka sekund. Posterunek jest zbyt daleko. Nie możesz się obwiniać. - przykucnęła przed nim

-Przyjechali z codziennika "DAILY - UK". Chcą wywiadu. - mówiła cicho

-Dostaną wywiadu. - mówił stanowczo

-A później podam się do dymisji. - powiedział

-Przestań William. Bez ciebie nie damy rady dopaść kanalii. - pocieszała go

-Niech Anglia o nim usłyszy. Niech go znenawidzą. - powiedział załamany Harry

-To właśnie uczynię. - William odszedł

Morderca temu wszystkiemu się przyglądał z zadowoleniem. Właśnie o to mu chodziło. O sławę i o dymisję Williama. Spoglądał wprost na niego. William również patrzył pojednawczo na mordercę. Jeden znał prawdę i był zawsze o krok szybciej. Drugi karcil się za porażki, lecz to się niedługo odmieni. Szalka zwycięstw przechylił się ku Williamowi. Sophie pierwsza pozna rozwiązanie tej sprawy i tym sposobem również będzie najmniej bezpieczna. Na razie nie wyskakujmy w przyszłość. Zostańmy tu – przy terażniejszości, bo bez niej nie ma przyszłości. Tak wiem głupio to brzmi, ale uwierzcie mi, jeśli byśmy się przenieśli w czasie to nie zrozumielibyśmy kompletnie nic. Wszystko bowiem ułoży się w zupełnie innej konfiguracji. Gwiazdy na niebie zmieniają położenie i niezliczone gwiazdozbiory nie będą już takie same. Nawet ty drogi czytelniku będziesz innym, obcym sobie. Dlatego nie pomińmy niczego. Nie możemy zniszczyć tej historii. Wspólnie dobrniemy do końca. Do upragnionej prawdy.

21 grudnia 1944 - pięć miesięcy przed poznaniem prawdy

William siedział przy swoim biurku na komisariacie. Do drzwi zapukała Lauren. Wychyliła głowę przez drzwi.

-Williamie. Gazeta. Chcesz zobaczyć? - spytała

-Tak, poproszę. - odpowiedział

William zaczął oglądać wydanie "DAILY - UK".

DAILY - UK

GRUDZIEŃ 1944

\$ 8.00

MORDERSTWA NA KOBIETACH

Kto stoi za śmiercią trzech kobiet, jednej małej dziewczynki. Kto zranił młodą kobietę która walczy teraz o życie?

W brytyjskim miasteczku dochodzi do okropnych zbrodni. Ostatnio się one nasiliły. Pierwszy atak miał miejsce 1 grudnia 1939 na Abigail Evans. Pięć lat później została zamordowana Janet Taylor i niezidentyfikowana kobieta. Z kolei wczoraj ofiarą mordercy padła córka Charlesa Smitha.

WYWIAD

Czy policja robi wystarczająco dużo, żeby zapobiec dalszym zbrodniom?

W wywiadzie dla DAILY - UK Komisarz William: "Morderca jest bezlitosny. Zabije każdego. Apelujemy o ostrożność. Robimy co w naszej mocy"



CO SIĘ DZIEJE W ANGIELSKIM MIASTECZKU? WYWIAD Z KOMISARZEM WILLIAMEM WALKER

WYWIAD PRZEPROWADZIŁA RENNIFER KENOVA

JENNIFER: Komisarzu przed chwilą była Pan świadkiem morderstwa córki Charlesa Smitha. Czy policja mogła temu zapobiec?

KOMISARZ: Tak mogła. Myśleliśmy, że morderca zaatakuje w nocy jak to dotąd miało miejsce. Nie zwołałem moich posłków. Nie zrobiłem wszystkiego co w mojej mocy.

J: A więc miejscowa policja nie jest w stanie podjąć takiego zadania?

K: Funkcjonariusze są oddani sprawie. Nie możemy uzyskać pomocy, ponieważ jesteśmy oddzieleni od reszty świata utrzymującą się już od tygodnia zaspą.



J: A KIM JEST MORDERCA? CZYM SIĘ KIERUJE?

K: TOŻSAMOŚĆ MORDERCY JEST NIEZNANA. MORDERCA JEST BEZLITOSNY. ZABIJE KAŻDEGO. APELUJEMY O OSTROŻNOŚĆ. ROBIMY CO W NASZEJ MOCY.

J: OFIARAMI SĄ KOBIETY I MAŁA DZIEWCZYNIKA? CZY MORDERCA MA UPODOBANY TYP URODY? MOŻE ZWRACA UWAGĘ NA POCHODZENIE? MAJĄTEK?

K: MORDERCA ZABIJA KOBIETY O ŚNIADEJ KARNACJI, Z KRUCZYMI WŁOSAMI I CIEMNYMI OCZAMI. ATAKUJE W BIEDNE KOBIETY. OFIARY PRACOWAŁY W TEATRACH LUB DOMACH PUBLICZNYCH

J: JAKAŚ ALUZJA?

K: NIESTETY TAK. KOBIETY Z POCHODZENIA SĄ ŻYDÓWKAMI ALBO MAJĄ TAKI TYP URODY. MORDERCA NIE ATAKUJE NA BLONDWŁOSE I NIEBIESKOOKIE KOBIETY. MOŻLIWE, ŻE UWAŻA, IŻ RASA ARYJSKA JEST PONAD HIERARCHIA.

J: JAK MY KOBIETY MOŻEMY SIĘ UCHRONIĆ?

K: CZUWAMY NAD BEZPIECZEŃTWE M KOBIET. NA OBSZARZE MIASTECZKA BĘDĄ STACJONOWALI FUNKCJONARIUSZE PILNUJĄCY PORZĄDKU. NIECH WSZYSCY WRACAJĄ Z PRACY, UNIWERSYTETÓW W TOWARZYSTWIE INNYCH OSÓB. NAJLEPIEJ W JAK NAWIĘKSZEJ GRUPIE. DZIECI NALEŻY ODPROWADZAĆ I PRZYPROWADZAĆ ZE SZKOŁY. DOTYCZY TO W SZCZEGÓLNOŚCI DZIEWCZYNEK.

I PROSZĘ ZACHOWAĆ SPOKÓJ. ZAMIEŚCILIŚMY DOSŁOWNIE WSZĘDZIE LISTY GOŃCZE. NAGRODA ZA WSKAZANIE MIEJSCA POBYTU POSZUKIWANEGO WYNOŚI 20.000 FUNTÓW. JEŚLI BĘDZIE POTRZEBA ZAPŁACIMY W DOLARACH.

JEŚLI WIESZ COŚ O MORDERCY,
GDZIE SIĘ UKRYWA, CO ZAMIERZA
POINFORMUJ NAS O TYM.
WYSTARCZY, ŻE WYŚLESZ LIST.
NIE ZDRADZIMY TWOJEJ
TOŻSAMOŚCI. ADRES PONIŻEJ:
239 VICTORIA STREET

William zatrzymał się na 3 stronie gazety.

-Dlaczego nie czytasz dalej Williamie? - spytała Lauren

-Znam wszystko na pamięć. -westchnął

-I co dalej? Podasz się do dymisji? - pytała

-Niestety tak. Jak ty to sobie wyobrażasz? Nie damy rady bez ciebie. - pochyliła się za biurko i spoglądała mu prosto w oczy

William milczał. Lauren zmieniała temat rozmowy.

-Zostawił coś przy dziewczynce?

-Nie.

-Domyślasz się, dlaczego?

-Nie miałby czasu usunąć odcisków.

-Cholera i co teraz?! Czekamy?

-Szukamy Lauren. Szukamy.

Hamburg 31 grudnia 1944

-Helgo? Może odrobinę szampana. - spytał mężczyzna z kocią brodą

-Tak, poproszę. - mrugnęła do niego okiem

-Pani Laber! Proszę dołączyć do nas! - zachęcał ktoś inny

Helga podeszła powolnym krokiem do towarzystwa.

-O widzę, że Panowie grają.

-Otóż to. -odpowiedział staruszek z hitlerowskim wąsikiem

-Może Pani postawić wybraną sumę i dołączyć się do zabawy. Ja stawiam. - mówił inny

-Ja również. - uśmiechnął się łapiąc rękę Pani Laber

-Och uprzejmi są Panowie. - usiadła przy stole

Towarzystwo grało w karty i żetony. Helga obstawiała. Zawsze trafnie. Grało tak przez dwie godziny.

-Ależ Pani Helgo ma Pani wrodzony talent do hazardu! - chwalił ją

-Jeśli piękna dama ma ochotę może przyłączy się do mnie we wtorkową grę? Podzielimy sumę na dwoje? - spytał gorączkowo

-Na dwoje? - zaśmiała się

-Ależ nie oferuj jej czegoś takiego! To zniewaga! U mnie będzie Pani miała 70% udziału za każdą grę! - zachęcał

-Och Panowie ja nie gram zawodowo w hazard, ale za to cygara robię codziennie. Najlepszej jakości. Proszę spróbować. - zakręciła papierosa

Papieros poszedł w obieg między towarzystwo.

-Znakomite. Dobrze, że wróciłaś do Niemiec. Taki potencjał za granicą w tym chlewie. - zaśmiał się jeden

-Niemcy ponad wszystko! - krzyknęła podnosząc kieliszek

Reszta odchrząknęła to samo. Oficerowie zaczęli rozmawiać o polityce, a kobiety o najnowszych niemieckich kreacjach.

Helga podeszła do kobiet.

-Dobry wieczór Paniom. Witaj Ursulo.

-Jak się masz Helgo. - przywitała się jedna

-Dobrze. Miło mi was widzieć.

Helga odeszła z towarzystwa kobiet. Nie tego właśnie teraz potrzebowała. Nie chciała słuchać żmudnych rozmów o kapeluszkach czy rękawiczkach. Szukała męża.

-Hans? - wyjrzała przez okno

Ujrzała swojego męża opartego o marmurową poręcz na balkonie. Oboje się uśmiechnęli do siebie.

-Wszędzie ciebie szukałam. - uścisnęła go

-Tamci z tyłu obserwują nas. - szepnął jej do ucha uśmiechając się

-Zazdroszczą nam luksusów. - zaśmiała się

-Dowiedziałas się czegoś o Johannesie Bausch? - spytał

-Nie. Pytałam mężczyzn siedzących przy stole. - odparła cicho

-Tych grających w ruletkę?

-To hazard. - zaśmiała się

-Nieważne. Naprawdę nic nie wiedzą? - kipiał ze złości

-Nic.

-Ale jesteś pewna, że on tak się nazywa? Skąd możesz wiedzieć? Widziałaś go tylko chwilę.

-Jestem tego pewna. Całe życie szukałam informacji o nim.

-A więc szukamy dalej?

-Aż do skutku. A poza tym. Zauważyłeś jak patrzy się na ciebie ta blondynka? - zaśmiała się

-Powinnaś być zazdrosna. Jaka blondynka? Tutaj wszystkie są blondynkami.

-Ta z monobrwią.

-Oby do mnie nie podeszła. Czy ona do mnie mrugnęła? - zapytał się przestraszony

Helga zaczęła się śmiać.

-Nie jest zła.

-Nie interesuję się kobietami.

Oboje zamilkli.

-Co to oznacza? - spytała

-Interesuję się tylko tobą. - zaśmiał się

-No i dobrze. Tak ma być. Bez podrywania, bo wzbudzisz podejrzenia. Ja też będę zła.

-Zaraz nowy rok Helgo. Wypijemy?

-Moje ulubione wino? O każdej porze.

-Oby ten rok był lepszy...

-Dla kogo? -spytała cicho

-Dla nas i dla.... - chciał dokończyć, ale okrzyki towarzystwa były nader głośne

-Niemcy ponad wszystko! Niemcy potęgą! - przekrzykiwali się

-Już wiesz. - Hans zaczął klaskać

-Niestety wiem. - pomyślała

Anglia 20 stycznia 1945

-Przeszukaliście już wszystkie domy tak jak kazałem?

-Ludzie nas nie wpuszczali. - odpowiedziała Lauren

-A czy mnie interesuje zdanie ludzi? Jak nie otwierają to macie wchodzić jak gestapo i przeszukiwać wszystko! - krzyczał nowy Komisarz Johnson

-Ale to nie ludzkie. Będą się nas bać. Zniszczymy wizerunek miejscowej policji! - kłóciła się

-I tak go zniszczyliście. - kpił z nich

Lauren odeszła wściekła z biura Komisarza Johnsona. Uderzyła mocno drzwiami.

-Harry pakuj się. - powiedziała spokojnie

-Co?! - zadrwił

-Pakuj się. Głuchy jesteś czy co? Idziemy stąd. Nic tu nie zrobimy. Policja chce wszystko rozwiązywać bojowo.

-Sądysz, że pacyficzność w tym przypadku jest dobra?

-Wiem do kogo pójdziemy. Jesteś ze mną czy przeciwko mnie?

Harry zaczął się pośpiesznie pakować. Wiedział, że drugi raz już nie spyta.

Wyszli z komisariatu. Lauren szybko szła brukowaną uliczką. Tuż za nią szedł Harry.

-I jak wygląda ten twój doskonały plan? Idziemy do wróżbity? - drwił

-Zamknij się. - odpowiedziała spokojnie

Weszła do kamienicy. Szła poniszczonymi, dębowymi schodami ku górze. Zapukała do drzwi. Otworzył jej William. Weszła do mieszkania nie zwracając na niego uwagi.

-Niech to diabli. William co tu się stało? Przeszło tornado? Co do cholery robią tu te butelki. Gościu ogarnij się. Idź się umyć. - mówiła

-Lauren ja już nie pracuję w policji. - mówił zawiedziony lekko kiwając się

-Ale to nie oznacza, że możesz chlać i zostawiać swoich przyjaciół jakiemuś gburowi! - krzyczała wściekła

-Lauren.. - próbował coś powiedzieć, ale ta mu przerwała

-Ile tego wypitesz? W niecały miesiąc stałeś się alkoholikiem. Brawo. Jestem z ciebie dumna. - ironizowała

-Lauren nie przesadzasz?! - chwycił ją za ramię Harry

Ta mu się wyrwała i chwyciła koszulę Williama.

-Idź się umyć i ogarnij się. Ja pozbieram te butelki. Nigdy w życiu nie tkniesz już whiskey! Zrozumiano?! - podduszała go

-Cholera Lauren udusisz go! - krzyczał Harry

-Zrozumiano?! - spytała

-Tak. - odparł zażenowany William

Kiedy William brał kąpiel Lauren i Harry sprząтали jego mieszkanie. Wśród licznych pustych butelek przewijały się stosy dokumentów. William wyszedł z łazienki i usiadł na fotelu.

-Harry ty też siadaj. - rozkazała

Wyciągnęła z kieszeni karteczkę. Położyła ją na stole. Wciąż ją trzymała wodząc wzrokiem za mężczyznami. Każdemu spojrzała prosto w oczy. Po krótkiej chwili zastanowienia podsunęła karteczkę mężczyznom.

-Co to? - spytał Harry

-Nie wiem chyba szyfr. - powiedziała spokojnie chodząc z jednej ściany do drugiej i przygryzając wargi

-Po co? - spytał ponownie

-Czy ty zawsze musisz zadawać takie niewygodne pytania? Harry kocham cię, ale czasem zachowujesz się jak idiota. - mówiła wściekła

-Dlaczego tego nie dałaś policji? - spytał William

-Bo ty nią nie kierujesz. - odpowiedziała

-Kiedy to zostawił? - spytał się

-Miesiąc temu.

Harry złapał się za głowę. Najwidoczniej informacje w jego głowie już się ułożyły w odpowiednie szufladki.

-Psiakrew... - odsapnął rozkojarzony Harry

-Lauren to nie odpowiedzialne! - krzyczał Harry

-A to że zostawiłeś nas nas temu obrzydliwemu staruchowi, który nawet nie wie jaki dziś dzień, to było odpowiedzialne?! - skrzyżowała ręce na znak protestu

-Nie. - odpowiedział

-I co teraz? A jeśli ciebie zamkną za utrudnianie śledztwa? - spytał Harry

-O niczym się nie dowiedzą. - powiedział zdeterminowany William

-Trzeba to jak najszybciej rozwiązać. Zanim będzie za późno. - mówiła

-Ile mamy czasu? Dzień? Tydzień? - spytał Harry

-Kilka godzin. Może minut. Nikt tego nie wie. - odpowiedział William

Harry złapał się za głowę, a Lauren zaczęła obgryzać paznokcie.

-To funkcje? - spytała

-Tak. A dokładnie to postać funkcji kwadratowej.

-Ogólna i kanoniczna? - spytał Harry

-Otóż to.

-Obliczamy?

-Tak. Podzielmy się zadaniami. Harry ty weźmiesz te z samej góry, ja z środka, a Lauren z dołu.

$$(x+1)^2+2$$

$$(x-2)^2-6$$

$$2(x+2)^2-15$$

$$-4(x-1)^2+5$$

$$-(x+1)^2+2$$

$$-2(x+1,5)^2+6,5$$

$$-1(x+3)^2-3$$

$$2(x+5)^2-1$$



Milczeli tak w skupieniu przez pół godziny.

-Obliczyliście wszystko? - spytał Harry

-Tak. - odparli

-Dopasowaliśmy do siebie elementy, ale nic do siebie nie pasuje. - westchnęła Lauren

-Myślę, że to nie jest takie proste. Musimy podwracać kawałki. Tak jak puzzle. - powiedział William

-A jest przynajmniej jakaś sekwencja? - spytała

-Niestety nie. Musimy dopasować każdy element w dane pole. Spójrzcie. - zaczął obracać karteczkami

-O matko. To jakaś twarz. - powiedziała Lauren

-Ale czyja? - spytał Harry



-To on. - powiedział William

-Jesteś pewien? - spytała

-Chyba tak. Niebieskooki blondyn. Jest ktoś taki w miasteczku? Na miejscu zbrodni chyba nie widziałem takiej twarzy. Nie wiem. Wszystko mi się rozmazuje w myślach. Za dużo whisky.

-Tutaj mieszka tysiąc osób Williamie. Jak ich mamy sprawdzić? Poza tym ten rysunek jest zbyt niewyraźny ...- odparł Harry

-Policja wszystkich przeszukuje. Każde mieszkanie jest odwracane do góry nogami. Dajmy im to. - powiedziała Lauren

-Naprawdę tak bardzo chcesz siedzieć? - ironizował Harry

Lauren uderzyła pięścią w ścianę. Była wściekła.

-On może zaatakować w każdej chwili. Ale byłem głupia nie oddając tego Komisarzowi Johnsonowi.

-Spokojnie Lauren. Coś wymyślimy. - pogłaskał ją po ramieniu załamany Harry
-Macie przy sobie ciemne ubrania? Najlepiej czarne. - spytał William
-Mam czarny płaszcz i kapelusz. - odpowiedziała Lauren
-Mam czarną marynarkę i granatowe spodnie. - dodał Harry
-Świetnie. Jak się ściemni wyjdziemy.
-Dokąd? - spytali
-Na miasto. Trzymajcie. - podał im gwoździe i młotki
-Mamy kogoś zamordować? - zaśmiali się
-Nie. Będziemy przypinać te zdjęcie do listów gończych.
-Fakt. Są one porozwieszane wszędzie. - odparła Lauren
O północy wyszli i zrobili to co postanowili.

Hamburg 25 marca 1945

-Żadnych wiadomości stamtąd Hansie? - zapytał Helga
-Żadnych. - westchnął
-A nasz przyjaciel? Co z nim? Jest bezpieczny? - pytała
-Nie żyje. Zbombardowali całą ulicę, na której mieszkał. Nikt nie pozostał przy życiu. - łkał
Helga go przytuliła i głaskała po głowie. Ten człowiek też kiedyś jej pomógł. Uratował jej życie.
-Nie chcę tego mówić głośno. Hans przecież ty wiesz, że Niemcy skapitulują. - powiedziała
-Ciszej! - syknął i złapał ją mocno za nadgarstek
-Ktoś tu idzie. - dodał cicho
-Halo? Helgo? Hans? Jesteście tu?
Usłyszeli głos kobiety. To była Ursula.
-Tak, Ursulo. O co chodzi? - spytała Helga
-Wyjeżdżam z moim mężem i dziećmi. Boimy się tu zostać. - mówiła szeptem
-Uciekacie jak szczury. Tchórze. Tyle złego zrobiliście i nie poniesiecie za to konsekwencji.
- myślała Helga
-Tak mi przykro. - powiedziała Helga
-A Helgo. Ostatnie zadanie dla was. Zostało ich kilku. - zaśmiała się

Nagle rozległ się strzał. Helgę przeszły dreszcze. Codziennie słyszała ich kilkaset. Miała tego dość.

-Kogo? -spytała

-No wiesz kogo. Brudasów. -śmiała się

Helga upadła na krzesło. Zrozumiała jakich ludzi miała na myśli nazywając ich brudasami. Czy Hans naprawdę tym kierował? Trafiali oni na rzeź dzięki jego zapiskom?

-Helgo? Wszystko w porządku? - spytała łapiąc ją za ramię

-Szatan a nie kobieta. - pomyślała Helga

-Pomieszany rozum. Wariatka! - pomyślała Ursula

Helga odsunęła ramię nic nie mówiąc. Odeszła bez pożegnania. Ursula wkrótce wyszła.

Tymczasem Helga szła prosto ku niemu. Weszła do jego biura bez pukania.

-Jak mogłeś! Nienawidzę cię! Mówiłeś, że masz jakiś plan, ale kłamałeś! Wszystkich ich zabiłeś! Jak mogłeś! Zabiłeś moich braci! - krzyczała

-Dlaczego się do mnie nie odwrócisz? Wstyd ci?! - krzyczała

Helga obróciła obrotowy fotel, na którym siedział Hans. Zamarła w bezruchu. Hans postrzelił się w głowę. Helga złapała go za ramiona i zaczęła nim trząść jak opętana. Straciła swojego powiernika. Nie miała tu nikogo oprócz niego.

-Andrew! Obudź się! Andrew! - krzyczała

-Błagam nie. - przyłożyła swoją twarz do jego czoła

-Co ja bez ciebie zrobię... - położyła się na nim

Jego ciało stawało się coraz zimniejsze i bledsze. Zauważyła zaplamiony krwią papier. Leżał na biurku. Tuż obok była koperta podpisana imieniem Sophie. Rozdarła kopertę i zaczęła czytać list pożegnalny.

Droga Sophie

Przepraszam, że zaciągnąłem ciebie aż tutaj. Do miejsca, gdzie mordują twoich braci dla rozrywki. Jeszcze rano myślałem, że wrócimy do Anglii. We trójkę. Ty, Frank i ja. Dzisiaj rano zbombardowali ulicę, na której mieszkał Frank. Nie zdążył on schować się do schronu. Nie pozostało po nim nic. Wszystkie pamiątki spłonęły. Zapewne zastanawiasz się, dlaczego tak długo ciebie unikałem. Zauważyłem, że czujesz do mnie coś więcej niż tylko przyjaźń. Nie zrozum mnie źle. Ja ciebie też bardzo kocham, ale jak siostrę. Dziesięć lat temu spotkałem pewnego mężczyznę imieniem Frank. Zdeklarowanego przeciwnika Hitlera, choć sam był pochodzenia niemieckiego. Pokochałem go. On mnie również. Ukrywaliśmy to. Tobie

również o tym nie mówiłem. Przepraszam. Bałem się. Przecież wiesz, że nawet w Anglii jest to zakazane. Co prawda bycie Żydem jest równie niebezpieczne jak bycie gejem, ale nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Wiem, że byś mnie zaakceptowała, ale bałem się stracić przyjaciółkę. Nie chciałem cię zranić. Dziękuję, że byłaś przy mnie. Kiedy przyjechałaś do Anglii poczułem, że w końcu mogę poczuć się szczęśliwym. Ty byłaś moim szczęściem. Zapewne każdego dnia myślałaś, że nie jesteś nikomu potrzebna, ale myliłaś się. Dziękuję ci za wspólne wypadki razem z naszą bandą. Miło było podkraść kilka jabłek temu wrednemu sąsiadowi z piątej alei. Kiedy straciłem rodziców byłaś przy mnie. Czulaś dokładnie to co ja. Teraz z naszej bandy pozostałaś tylko ty. Janet i ja trzymamy za ciebie kciuki. Era Hitlera się kończy. Uciekaj z tego kraju. Ale zanim spakujesz walizki zrób to co ja zawsze robiłem. Zapewne, gdy usłyszałaś, że piszę listę zabitych Żydów to zaczęłaś obkładać pięściami mojego trupa. Sekwencja jest prosta. Wybierasz liczby pierwsze 8 i 9. Tak, to liczby z daty urodzin Hitlera. Oni są łasi na takie rzeczy, więc sprawdzają ofiary z miejsca 8 i 9. Na tych miejscach mają być umieszczone nazwiska prawdziwych ofiar. Reszta jedzie statkiem ku wolności. Tak zrób i ty. Wybierz miejsce, które chciałaś najbardziej odwiedzić. Może Paryż? Pamiętasz naszą rozmowę w Bremerhaven? Zrób to. A i prawie zapomniałem. Spal ten list.

Kocham Cię

Andrew

Sophie wrzuciła list do kominka. Przypomniał jej się pewien dzień. Był to 6 grudnia 1944.

Wspomnienie Sophie

Pamiętała ten dzień, kiedy zakradła się z Andrew i Janet do ogromnego teatru. Jakaś piękna kobieta tańczyła na scenie w rytm muzyki. Ona w swojej wyobraźni była tą piękną baletnicą. Nic jej nie ograniczało. Wtedy zapominała o krwi. Zapominała o życiu. Nie było jej. Była tylko harmonia. Dlatego tak kochała się otaczać muzyką. Rozmyślała. Pomyślała o Williamie. Czula, że dusza chce wyjść z tego ciała wprost ku niemu. Serce jej biło zgodnie z muzyką grającą w jej głowie. Biło coraz szybciej. Ona coraz szybciej tańczyła. Przed jej oczyma wśród promieni ognia przelatowały rozmazane twarze mamy, taty, małego braciszka, Mary, Francisca, Andrew, Janet, babci i ... twarz jej ukochanego. Tańczyła coraz to zwinniej, szybciej i bez opamiętania, aż jej serce nie wytrzymało. Osunęła się na podłogę. Zasnęła?

Tymczasem w salonie na sofie siedział Andrew, a tuż obok niego Frank.

-Słyszałeś to? - spytał Frank

-Cholera to Sophie?! - krzyknął i wbiegł do pokoiku

Tuż za nim pobiegł Frank. Andrew przykucnął przy Sophie i próbował ją obudzić.

-Żyje prawda? - spytał Frank

-Tak. Czuję oddech, ale jest bardzo płytki. - mówił

-Zagrzeję wodę. Jest bardzo zimna. - powiedział Frank

-I wygłodzona. Spójrz. - wskazał palcem na obojczyk Sophie

-O matko. Ile ona nie jadła? - spytał

-Nie mam pojęcia. W drodze nic nie jedliśmy. Myślałem, że zjadła coś przed podróżą w Anglii.

-Może nic nie miała. Przenieśmy ją.

Frank i Andrew przenieśli Sophie koło kominka. Frank przyniósł miskę z wrzątkiem. Zamoczył ściereczkę w wodzie i zaczął obłakać nią stopy Sophie.

-Przyniosę więcej na resztę ciała. - powiedział Andrew

Minęła godzina. Mężczyźni dbali o dziewczynę jak o młodszą siostrę.

-Co zrobimy jak się nie obudzi? - spytał Frank

-Przestań Frank. Nawet tak nie mów. - powiedział Andrew

Dziewczyna otworzyła oczy.

-Dzięki Bogu! - krzyczał Frank

-Wystraszyłaś nas Sophie. - powiedział Andrew

-Jesteśmy już na miejscu? - spytała ostatkami sił

Mężczyźni się roześmiali.

-Chyba zemdlałam... - dodała

Po wypiciu ciepłej herbaty i przełknięciu wodnistej zupy Sophie odzyskała siły.

-A co jeśli go nie znajdziemy? - spytała

-Znajdziemy. - odpowiedział

-A jeśli, któreś z nas umrze? - pytała rozstrzęsiona

Fakt. Andrew obmyślił cały plan. Zajęło mu to całą wojnę. Nieprzewidział jednak swojej śmierci. I to zaprowadziło cały plan do zguby.

-Nie zginiesz Sophie. Jeśli zaczną ostrzeliwać Hamburg i będziesz w ostatkach sił to uciekaj. Nie zastanawiaj się. Ja zostanę na miejscu i zrobię to co należy. - powiedział

-Dokąd? - spytała

-Może tu do Bremerhaven. Do Franka. On ci pomoże. Da wskazówki. Prawda Frank?

-Tak. - odparł Frank

-Jesteśmy ci wdzięczni. - odparli obdarzając go czułym spojrzeniem

Schowam tą książkę w piwnicy. Piwnica jest dosyć głęboko, więc książki nic nie uszkodzi.

-Domyślam się, że skarb kryje się w środku? - przypuszczała

-Tak. Zobacz. To bilet, mapka i klucz. Wsiądziesz na najbliższy statek. Byle nie do Anglii. Musisz się ukryć. Lepiej jeśli odpuścisz sobie Anglię. Zaufaj mi. -mówił spokojnie

-Rozumiem. I dziękuję. Dziękuję. - mówiła

Tyle tylko mogła z siebie wykrztusić. Nie wiedziała co mówić. Frank ryzykował dla nich życie. Gdyby plan się wydał i odkryliby, że Helga Laber to tak naprawdę Ruta – z krwi i kości Żydówka zabiliby całą trójkę. Mogła tylko dziękować. Zrobił dla niej tak dużo. Prawdę mówiąc to uratował jej życie karmiąc ją wodnistą, obrzydliwą zupą i dając jej schronienie.

Sophie otarła łzy. Dopełniła papierkową robotę ratując tym samym kilka Żydów. Jej braci. Wciąż obejmowała swojego przyjaciela. Gdy usłyszała strzały i krzyk ludzi wzdrgnęła się i opuściła go. Został tam sam, ale wiedziała, że teraz jest szczęśliwy. Sophie biegła ulicą podobnie jak inni. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Może nawet gdyby nie była ubrana w futro, nie miała blond włosów i byłaby tamtą Żydówką z swojego lat dzieciństwa też by jej nie zauważyli. Wszyscy wołali o pomoc. Jakaś zapłakana matka pytała czy nie widziała jej syna. Czemu byli winni Żydzi? A co zrobili dzieci? Dlaczego każdy nienawidzić ludzi pochodzenia Niemieckiego? Nie każdy przecież chciał zabijać. Wyniosła z tej podróży pewną sentencję.

“KOCHAJ KAŻDEGO, CHOĆBY WBIJAŁ CI NÓŻ W SERCE. KOCHAJ I NAUCZ
KOCHAĆ.”

Sophie dotarła na statek. Pokazała bilet i wsiadła w daleki rejs w ku przeznaczeniu. Ku nadziei. Ku życiu. Życiu.

Dotarła do Francji. Z każdej strony słyhać było przegraną Niemców. Zbliżała się wygrana. Ale dla kogo? W pewnym małej wsi spędziła resztę marca, kwiecień i wreszcie nadszedł maj. Polubiła to miejsce. Czuła się w nim dobrze. Czuła, że żyje. Zapomniała o swojej przeszłości. Tego właśnie pragnęła. Nadszedł 7 marca. Dzień odrodzenia. W Reims podpisano akt bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy. Nie zapomniała jednak o jednej osobie. Pomyślicie zapewne, że chodzi tu o mordercę. Nie. On nie miał dla niej żadnej wartości. Żanego znaczenia. Nie chciała zemsty. Myślała o Williamie. Zastanawiała się czy żył.

Francja 21 maja rok 1945

Ruta podlewała kwiaty i śpiewała. Z zadumań wyrwał ją krzyk małego chłopczyka. Był to syn mleczarza.

-Poczta! Poczta! Panno Ruto? Gazeta dla Pani? - pytał szczęśliwy

-Tak, poproszę. - uśmiechnęła się do niego

-Niemcy kapitulują Pani Ruto! KAPITULUJĄ! - cieszył się

Ruta odwzajemniła uśmiech. Była szczęśliwa, że to wszystko się skończyło.

Wróciła do domu. Swojego małego, czarującego mieszkanka. Nie usiadła. Stała i czytała gazetę. Codziennie tą samą. Obejrzała okładkę DAILY – UK. Cała była wypełniona informacjami o przegranej Niemiec i o końcu panowania Hitlera. Była to brytyjska gazeta, Niezwykle droga. Chłopczyk specjalnie odbierał tą jedną dla Ruty, a ta w zamian uczyła go czytać. Jak widać nauczył się bardzo szybko i mógł się cieszyć końcem ery Hitlera tak samo jak ona. Ruta miała nadzieję, że w codzienniku będzie coś o Williamie. Nie było nic. Przewróciła na ostatnią stronę. Było o morderstwie. A raczej ich braku.

-Morderca nie atakuje już od paru miesięcy. - czytała na głos

Ruta spokojnie usiadła w swoim ulubionym aksamitnym czerwonym fotelu. Próbowwała zrozumieć wszystko co do tej pory się wydarzyło.

-Przecież tu nic się ze sobą nie łączy! – krzyknęła

Uspokoiła się jednak po chwili. Chwyciła swój już niemalże pusty kieliszek czerwonego wina. Krwisty kolor napoju, dzięki któremu mogła zapomnieć złe chwile w tym właśnie momencie stał się dla niej nie tylko używką, ale i rozwiązaniem zagadki.

-Wiem? Wiem! Wiem! - krzyczała w niebogłosy

Z podekscytowania skoczyła z całych sił w górę. Wyłobiła dosyć sporą dziurę w podłodze. Otworzyła szeroko oczy, rozejrzała się na boki i ujrzała dywan. Szybko przykryła dziurę dywanem. Nie przywiązywała zbytnej uwagi do rzeczy, więc uśmiech utrzymał się na jej twarzy. Nagle zdała sobie sprawę ze swojego odkrycia. Wolałby do końca życia nie wiedzieć rozwiązania tej sprawy. Byłaby nieświadoma jak Kolumb swego odkrycia, ale może byłaby szczęśliwsza... nie targalyby nią sprzeczne uczucia. Niewiedziała co zrobić. W miejsce dawnej sprawy wplątała się druga – znacznie trudniejsza. Osunęła się na fotel. W jej oczach pojawiło się zakłopotanie, gniew i rozpacz. Nikt jej nie uwierzy. Przejechała opuszką palca po brzegach kieliszka. Przypomnił jej się koncert solo w starej pijalni w Anglii. Przypomnił jej się William. Przypomniała sobie o tym pragnieniu. Całe życie tego chciała. Pragnęła sprawiedliwości.

W gazecie zobaczyła także zdjęcie. Ta twarz. Tak to był on. Była pewna. Ruta w szaleństwie wyciągnęła stare gazety sprzed paru miesięcy. Na nich również widniała jego twarz. Dlaczego nikt inny tego nie zauważył?

Wiedziała jak się nazywa. Wiedziała gdzie się teraz znajduje. Wybiegła z domku. Wsiadła na rowej.

-Gdzie jedziesz Ruto! - krzyknęła starsza Pani

-Do Anglii! - krzyknęła

-Rowerem?! - zdziwiła się

-Ruto! Czekaj! - krzyczała w zaparte

-Weź te pieniądze. Przydadzą się na podróż. - wcisnęła jej pieniądze

-Ja nie mogę. To zbyt dużo. - próbowała oddać pieniądze

-Przestań. Za to ile czasu mi poświęcasz, za piękny śpiew i melodię akoreonu oddałabym ci całe niebo, dziecinko. Zagrasz jeszcze? Wrócisz? Prawda? - pytała czule

-Wrócę. - odpowiedziała i odjechała

Dotarła na stację. Zostawiła rower u znajomego. Wsiadła w pociąg. Później w statek. Dotarł do Anglii. Była w tym miasteczku. Wspomnienia odżyły. Biegła jak szalona. Na komisariat. Otworzyła zmachana drzwi. Nie mogła złapać powietrza. Funkcjonariusze szybko do niej podeszli.

-O matko. Dlaczego Pani taka zmachana? - zapytał jeden

-To on! Znów zaatakował! - krzyczał jeden z nich

Wszyscy oszaleli. Zrobił się niezły popłoch.

-Cholera! Ludzie! Ustawcie się do pionu! - krzyczała pewna kobieta

Ruta machnęła ręką jakby próbując coś powiedzieć.

-Ludzie podajcie jej wody! - krzyknęła

-Wiem kim jest morderca. - powiedziała spokojnie

-Pani żartuje? - zaśmiał się jeden jedząc pączka, ale po sekundzie zaprzestał zważając na ogrom sytuacji

Zatkało ich wszystkich.

-Kim Pani jest? Jak ma na imię. - spytała funkcjonariuszka

-Jestem Ruto. Jestem Żydówką. - powiedział z dumą

-Niech Pani usiądzie. Ja jestem Lauren. - powiedziała

-To Charles Smith. - powiedziała nad wyraz spokojnie

Lauren zamarła w miejscu.

-To ja zawołam komisarza. - powiedziała

Wkrótce Lauren wróciła. Obok niej stał wysoki mężczyzna z wąsem.

Myślicie zapewne, że to Johnson? Otóż nie. Wylali go tydzień po przyjęciu stanowiska. Wrócił William.

Oboje patrzyli sobie w oczy. Lauren i reszta patrzyła na nich jak na obłąkanych.

-Sophie... - powiedział cicho zapłakany William

Zrzucili się na siebie. Byli tacy szczęśliwi. William pocałował jej czoło. Zaczął ją mocno ścisnąć tak aby już nigdy nie zniknęła.

-Williamie udusisz mnie... -szepnęła

Mężczyzna szybko poluzował objęcia. Płakał i śmiał się.

-Zapuściłeś węża? - spytała śmiejąc się przez łzy

-Tak. Specjalnie dla ciebie Sophie. - zaśmiał się

-Mów mi Ruta. Mam na imię Ruta, Williamie. Później ci wyjaśnię. - wtuliła się w niego

Lauren nie spoglądała na nich jak na obłąkanych. Był to obraz prawdziwej miłości. Ten widok przysporzył jej trochę bólu, ale jednocześnie ukojenia. Przypomniała sobie o Harrym. O tym jak go bardzo kocha. O tym jak go nie przestanie kochać. Nigdy. Choć go już tu nie ma. Oddaliła się w bok. Wzięła w ręce kwiaty. Pięknie pachniały. Szła do niego. Na cmentarz. Musiała mu powiedzieć o paru rzeczach.

Gdy William i Sophie nacieszyli się swoim widokiem musieli zamknąć sprawę już na zawsze. Domknąć. Zamknąć kluczem. Schować w sejfie. I rzucić na samo dno historii.

Gdy Ruta wypija herbatę przeszła do rzeczy. Powiedziała mu o swojej tożsamości. Ale o tym już wiecie, więc to ominiemy. Przejdziemy do mordercy. Od samego początku, aż do końca był nim Charles Smith. Myślicie pewnie teraz: ALE JAK TO?! ZABIŁ WŁASNĄ CÓRKĘ!?! No morderca nie był do końca Charlesem Smithem. Wiem. Wiem. Jesteście źli, że to takie trudne do wytłumaczenia. Tak właściwie morderca to Johannes Bausch, który podawał się za Charlesa Smitha. Wyjechał on do Anglii w celu poszukiwania małej dziewczynki, która umknęła mu przed laty. Była ona jego największym celem. Chciał zabić Rutę. Nie udało mu się. Dotąd odnosił sporo "sukcesów". Zwłaszcza w starciu z miejscowymi policjantami. Jednak, kiedy potęga Hitlera nie rosła w siłę, a wręcz przeciwnie - stawała się coraz to słabsza, on załamał się. Kiedy Hitler był przegrany, on również nie miał po co żyć. Zabił się. O ironio losu w ogniu. Jego dom objęły płomienie po tym jak się upił i wypadła mu butelka mocnego alkoholu z ręki. Nic nie pozostało. Tylko popiół. Jak to mówią? Ach no tak: kto mieczem wojuje, ten od miecz ginie. W jego przypadku można by powiedzieć, że kto ogniem wojuje, ten od ognia ginie. Spalił tysiące żydowskich ksiązek, tysiące ludzkich ciał. Był on człowiekiem chorym. Zapatrzył się w ideologię Hitlera. To doprowadziło go do samo destrukcji. Jesteście zapewne ciekawi, dlaczego zabił dziewczynkę. Przecież to było niewinne dziecko, mające prawo do życia. Ja też tak uważam, ale nie mamy kontroli nad ludźmi. Mała Sarah była Żydówką. Morderca porwał ją i posłużył się jak zabawką. Nadał jej imię Sarah. Oczywiście po kobiecie zamordowanej przed sklepem. Po matce Ruty. Tak pragnął jej śmierci, że nie mógł sobie pozwolić o niej zapomnieć. Kazał małej dziewczynce nazywać się ojcem, za drobne, zwiotczałe okruszki chleba. Zabił ją nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Ruta całe swoje dotychczasowe życie pragnęła dla niego zemsty i cierpienia. Teraz było jej to zupełnie obojętne. Najważniejsza była sprawiedliwość i prawda dla tych kobiet. Wspólnie z Janet planowały złapanie Johannesesa Bauscha. Nie udało się. On był szybszy. Teraz oddała swojej przyjaciółce honor. Każdy już wiedział co się wydarzyło w te zimowe noce z tymi bezbronnymi kobietami. Jesteście pewnie ciekawi co z kobietą, która miała ostrze w udzie. Od początku budziła podejrzenia. Gdy wyszła ze szpitala (jakim cudem?) zamknęła się w sobie. Nic nie mówiła. To mogłoby być zrozumiałe. Ofiary często tak mają. Nie męczono jej. Teraz już każdy domyślał się co stało się w barze. Po wnikliwym dochodzeniu stwierdzono, że była jego współniczką. Chciała być jego kochanką. On ją odrzucił. Zrobiłaby dla niego wszystko. Tak mówiła na zeznaniach. Sama wbiła sobie nóż prosto w udo i odegrała niezły teatrzyk. Została umieszczona na oddziale psychiatrycznym. Została sama w czterech murowanych ścianach. Sama wraz z ukochanym.

Ruta nie wróciła do domu w Anglii. Spotkała swoją babcię. Kobiety miały rację, mówiąc, że więcej razy w ich życiu się już nie pożegnają. Teraz były razem. Osiadły we Francji. Oczywiście William pojechał z kobietami. Dojechali do małej wsi. William zaparkował samochód.

-Ruta! Ruta! Jesteś! Nauczysz mnie czegoś? - spytał radosny

-Ruta! Słoneczko ty moje! - krzyczała uradowana starsza kobieta

Pani Hedwig spojrzała na nią trochę zazdrosna. Przecież to była jej wnuczka!

-Kochani! Jestem! Mówiłam, że przyjadę! - uściskała ich

-O przedstawię wam moją rodzinę. To moja babcia. - wskazała

-Och! To Pani Tabita, która przez cały pobyt w Anglii ukrywała się pod imieniem Hedwig? - spytała zaciekawiona

-Tak. To właśnie ona. - powiedziała szczęśliwa

Kobieta uścisnęła Tabitę, ku jej zdziwieniu. Kobiety wkrótce odnalazły wspólny język. Stały się wiernymi przyjaciółkami i żadnej już się ni nudziło.

-A ten przystojniak?! - zaśmiała się kobieta

-To mój narzeczonny. - Ruta zawstydziała się

William pocałował ją w policzek.

-A więc wesele! Wesele! - krzyczała kobieta

W ślad za nią poszła Tabita i chłopiec. Narzeczeni się pocałowali. Wkrótce zrobili to jeszcze raz składając sobie wieczną przysięgę. Byli nierozłączni. Byli szczęśliwi.

Francja 3 czerwca 1956 rok

-Mamo, mam pomożesz mi? - spytała mała dziewczynka

-Przecież to proste! - zaśmiał się nastoletni chłopiec (tak to był już nastoletni syn mleczarza)

-Oczywiście skarbie. - odparła Ruta

-To matematyka. Co to jest błąd przybliżenia? Nie rozumiem. - odparła zawiedziona

-To różnica pomiędzy dokładną wartością oraz liczbą użytą w obliczeniach numerycznych. Spójrz. Pokażę ci. - przysunęła do niej zeszyt i zaczęła tłumaczyć

-A liczba pi? - spytała

Ruta zamarła. Spojrzała na córkę. Uśmiechnęła się. Coś jej się przypomniało.

-Wyobraź sobie koło od twojego ukochanego roweru.... - tłumaczyła dalej

Zapewne jesteście ciekawi kim jestem ja. Całą tą opowieść jestem przy was i nic o siebie nie mówię. Ja jestem po prostu życiem. Byłam tam, gdzie mnie chcieli, gdzie o mnie walczyli. Teraz stróżuję nad tymi, którzy cieszą się moją obecnością.

Ruta pomyślała nad całą tą skomplikowaną historią i zrozumiała jedno. Tak była tego pewna.

“MATEMATYKA URATOWAŁA JEJ ŻYCIE.

URATOWAŁA ŻYCIE TYSIĄCOM.”